№ 15 Warszawa, dnia 29 Marca (10 Kwietnia) roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Podróż do kraju Cyganów.

z Wiktora Tissota

przez S. D.

(Dalszy ciąg).

Dziwnież to poetyczny ten kraj Madziarów! Gdzie rzucić okiem po wybrzeżach Dunaju, sterczą zwaliska starych grodów, a do każdego złomu, przyrosła jakaś dziejowa pamiątka, i oplata go niemniej żywotnie, jak zielony bluszcz obwija na pół zwalone mury.

Im bliżej Pesztu-Budy, tem wspanialsze, tem częstsze te świadki dawnych czasów. Zobaczmy oto Gran. Ta dziś rezydencya prymasa, była niegdyś gniazdem pierwszych Arpadów. Tu ze szczytu skalistej góry, baszty warownego zamczyska odbijały w białym Dunaju. W zamku tym zbudowanym niegdyś przez Rzymian, jakoby w orlem gnieździe, zamieszkała książęca para, dzielny Geyza z dorodną Saroltą *). Małżonkowie żyli w miłości i zgodzie, Krzyż roztaczał już ramiona, ze szczytu starych Kontyn, lud odrodzony wodą chrztu świętego, zatykał na moc w ziemię koczownicze namioty, a obozowiska swoje przemieniał na wioski i miasta. I czemuż Sarolta łzawem okiem ściga z krużganku biały Dunaj? czemu tak smętnie pogląda na Karpaty, rysujące się we mgle na widnokręgu? Tęsknoż-li jej za ojcem Mieszkiem, za macierzą Dąbrówką? Smutek trawi jej serce, bo w orlem gnieździe pusto, drobne pisklątko nie zakwiliło jeszcze.

*) Madziary przezwali Sarolta, Adelajdę księżniczkę polską.

Owóż dnia jednego, zasnęła spłakana Sarolta i przed okiem jej pojawił się niebieski goniec, i oznajmił że wkrótce wypiastuje dzieciątko, a to zaświeci wielkim blaskiem, i lud błogosławić je będzie po wszystkie czasy, i królewska jego korona, do dalekich przejdzie pokoleń.

Spełniło się proroctwo, wkrótce przyszedł na świat maleńki Stefan, a ochrzczony przez Wojciecha świętego, wykarmiony mlekiem i piersią pobożnej matki, stał się chwałą narodu i kościoła.

Górzyste położenie miasta Granu, warowne samo przez się, nad szerokim Dunajem, nadawało mu wielką przewagę tak pod względem handlowym jak i strategicznym. Gran w średnich wiekach, obronniejszym był od Budy, bogatszym od Waradinu, wspanialszym od Presburga. Czem był Awinion za czasu papieżów, tem był Gran w czasach wojen krzyżowych. W szorokiej jego przystani, stały galary zdobne flagami całego chrześciaństwa. Większa część okrętów kupieckich, zimowała w tutejszym porcie. Wzdłuż Dunaju ciągnął się szereg gmachów, zawalonych bronią, sztukami bławatów i sukna, błamami cennych futer i pakami korzeni. Na szczycie góry, gdzie katedra podnosi dziś dwie strzeliste dzwonice, sterczał olbrzymi gród najeżony w wieże i baszty, otoczony zwałem kamiennym i fossami ze zwodzonym mostem, z zawartą szczelnie bramą.

W obrębie murów, w okół bazyliki ś. Stefana, kupiły się kamienne dworce, o wąskich oknach i szpiczastym dachem, zdobne gotyckim frontonem z żelaznemi krużgankami. W tych kastellach, gwarno było i ludno, snuły się tu roje hajduków, trubadurowie śpiewali przy biesiadach. Nigdzie pieśń większej jak tu nie używała wziętości. W każdym kastellu, przebywał nadworny poeta, istny słowik, zamknięty w klatce. Oprócz tych, wędrowni pieśniarze całą chmarą napływali do miasta; na każdym rogu ulicy, śpiewali swe ballady, przygrywając na skrzypcach. Jedni z tych poetów istni Tyrteusze, zagrzewali pieśnią do czynu, inni biczem satyry chłostali wszelką zdrożność.

Nie zbrakło im nigdy przedmiotu, szydzili zarówno z ciemnoty wieśniaka, z pychy spanoszonych mieszczan, z chciwości lichwiarza i okrócieństw uprzywilejowanego możnowładzcy: wyśmiewali przesadne stroje pięknych pań i rozhowory kłótliwych kumoszek. Czasami gdy śpiewak przebrał miarę, obrażony jednak wydzierał mu z rąk skrzypki i rozbijał na jego grzbiecie. Przyszło wreszcie do tego, że ślepcom tylko i kalekom wolno było śpiewać na rogu ulic, zdrowych żaś i krzepkich trubadurów, służba miejska spędzała bez litości.

Z czterech dzielnic miasta Granu, trzy zamieszkiwali cudzoziemcy negocyanci. Każda narodowość miała ulicę własną: w jednej przebywali sami Francuzi, w drugiej Włosi, w innych Niemcy i Bulgarowie. Istna to była wieża Babel, dziwna mieszanina języków, strojów, obyczajów i typów plemiennych. Ci spanoszeni kupcy rozrzucali złoto pełną garścią; aby przyćmić pychę magnatów zdobili dworce swoje pysznemi fasadami, w miejsce herbów rycerskich, na każdym sterczały straszliwe smoki z buchającą płomieniem paszczą, skrzydlate bazyliszki i jednorożce. W tych domach niesłychany panował przepych. Piękne panie w klejnotach i gronostajach, królowały za kantorami. Kiedy odwiedzały się wzajem, noszono je w złocistych lektykach, gdy zaś w dni świąteczne szły do kościoła, ulicę wyściełano kobiercami.

Owóż dnia jednego, krwawa łuna błysła na widnokręgu. Powódź tatarska zalała gród; pękły warowne bramy... Świetny Gran z całym swym przepychem z beczkami złota, z arcydziełami sztuki stał się pastwą dziczy barbarzyńskiej. Nigdy odtąd do dawnej nie wrócił zamożności.

Pomiędzy Granem a Pesztem, na stromej skale sterczy wzrąb zamczyska, uwieńczony na pół zwalo-

ną basztą. Otóż i wszystko co pozostało ze słynnego Wyszehradu. Domowe tradycye Węgrów od dawnych lat splatają się z naszemi. Jeźli do murów Granu, przyrosła pamięć naszej Adelajdy, zwanej Saroltą w poezyi madziarskiej, do murów Wyszehradu, przyrosła znów pamięć Elżbiety, córki Łokietka a siostry Kazimierza Wielkiego, i droższa jeszcze pamięć zrodzonej tu Jadwigi.

Zwaliska Wyszehradu przypominają epokę najświetniejszą w dziejach Węgier. Pyszny ten zamek najeżony niegdyś warownemi basztami, panujący u szczytu góry nad Dunajem, był ulubioną siedzibą Karola-Roberta, z domu francuzkich książąt d'Anjou. Za rządów tego króla, dwór tutejszy stał się jedną z najwspanialszych rezydencyi monarszych w Europie. Przepych wschodu połączony z wytwornością zachodnią, przyciągał tu niezliczone roje rycerstwa. Ścichły już pieśni wędrownych trubadurów, ale dźwięki kobzy madziarskiej rozlegały się przy ucztach królewskich Lubiła je córa Piastów, nasza Elżbieta, upodobał je sobie syn jej nasz król Ludwik, zwany przez madziarów Wielkim Louizem.

Zgasł na chwilę blask Wyszehradu; oniemiały kobzy przygłuszone wrzawą bojową. Krwawe zapasy z Turkami, pamiętne bohaterskim skonem dwóch Jagiellończyków, dały pobudkę do innych, wcale nie biesiadniczych pieśni. Jednę z nich wyśpiewał nieznany poeta po strasznej klęsce pod Mohaczem, w której poległ młodziuchny król Ludwik, wnuk naszego Kazimierza Jagiellończyka. Oto z niej parę zwrotek:

Mohaczu! Mohaczu! ty krwawa dolino,
Gdy myślę o tobie łzy z oczu mi płyną,
O ziemio nieczysta, wypiłaś krwi rzeki,
I chwałę narodu schłonęłaś na wieki,
Głos milknie w mej piersi, żal w kęsy je targa,
I nawet przez usta nie przedrze się skarga!

Lajosie młodziuchny nie ujrzym już ciebie,
Gwiazdeczko madziarska, zagasłaś na niebie,
Uwiędłaś na wieki gałązko zielona,
Z tobą przesławna upadła korona,
Dni nasze się wleką wśród jęku i płaczu,
Na piersi nam spadły pagórki Mohaczu!

Już jasne słoneczko za chmury się chowa,
A Boża Dziewica Madziarów królowa,
Zabłysła w promieniu i płacze nad klęską,
Ah! ujrzym ją kiedyś jak zdepcze zwycięzko
Złowrogi półksiężyc, na proch go rozkruszy,
Głos jakiś proroczo podzwania nam w duszy.

Ale wróćmy do Wyszehradu. Ten dźwignął się jeszcze za czasów Macieja Korwina, syna wielkiego Huniady. Maciej założył stolicę w Budzie, pałac zaś wyszehradzki zmienił w letnią rezydencyą, i roztworzył tu blask nieznany dotąd, gdyż podniesiony całym urokiem sztuki. Odrodzenie włoskie, rozbudziło w świecie zapał do arcydzieł Grecyi i Rzymu. Król podzielał ów zapał współczesnych. Rzecz jednak dziwna! gorący miłośnik literatury starożytnej, nie wpadł w zwykłą podówczas przesadę, miłował nad wszystko pieśń ludową. Kronikarz jego świadczy, że gdy siadał do stołu, lirnicy przygrywali mu na kobzach madziarskich, też same pieśni, ktore niegdyś radowały serca Arpadom.

Złota nić poezyi wplotła się w całą tkankę dziejów węgierskich i nadaje im dziwnie żywotny urok. Zacząwszy od Almosza, który przywiódł koczowników stepowych na Dunaj: od Arpada, który zabezpieczył im stałą siedzibę w zdobytej orężem ziemi: od ś. Stefana apostoła Węgier, do Karola Roberta i Loisa, którzy roztlili iskrę zachodniej cywilizacyi, do Huniady i Macieja Korwina pogromców Islamu, każda postać historyczna żyje w pieśni, otoczona cyklem, cudownych legend lub rycerskich rapsodów. Nie znalazł się tu wprawdzie nowy Homer, któryby z tych złotych strzępków, potęgą geniuszu, wysnuć zdołał nową Iliadę, a przecież owe luźne klejnoty niezwykłym świecą blaskiem i drogą pozostały dla narodu spuścizną. Długo one spoczywały w ukryciu, zwłaszcza w ostatnich czasach. Jeżeli za Macieja Korwina, ody Horacego i eglogi Wirgiliusza, nie zgłuszyły kobzy madziarskiej, dokonał tego wpływ Germańsko-łaciński Habsburgów przez dwa następne wieki. Z obudzonym przecież w Europie romantyzmem, przyszła dla Madziarów doba literackiego odrodzenia.

Jutrzenkę nowego zwrotu przeczuł Aleksander Kisfaludy, światły magnat węgierski. Jako oficer w półku austryackich huzarów, walczył we Włoszech przeciw wojskom Napoleona. Ujęty do niewoli w Medyolanie w r. 1796, zaprowadzony został do Francyi. Wskazano mu na miejsce pobytu miasto Awinion. Tam przy wodospadzie Wokluzy, w pośród wspomnień Petrarka, młody huzar uczuł budzącego się w sobie ducha poezyi. Zatęsknił za językiem węgierskim, którego nie słyszał od dawna; na ziemi wygnania, zrozumiał jego skarby. W rok potem wrócił do Węgier. opuścił służbę wojskową osiadł nad jeziorem Baluhonem i oddał się wyłącznie literaturze. Pierwszy jego poemat *pienia Nimfy*, ukazał się w 1801 roku. Trąba wojenna, wygnała go znów z cichej ustroni, poczem znów powrócił nad jezioro, gdzie spędził resztę życia, oddany wyłącznie wspomnieniom narodowem. Umarł w r. 1844; śmierć jego okryła żałobą całe Węgry.

Kisfaludy nie należał do tych olbrzymów co dźwigają na barkach literaturę, ale wierzył w przyszłość i karczował pole dla następców. Brat jego Karol tym samym poszedł torem, pracował dla teatru narodowego. Po przedwczesnym jego skonie Aleksander założył w Peszcie naukowe ciało, zwane Towarzystwem Kisfaludich, w r. 1836. Akademia ta złożona z dwudziestu członków, rozdaje co rok nagrody, za najcelniejsze utwory poetyczne. Dzięki tej instytucyi niejeden wyższy talent rozwinął się już w Węgrzech.

W pośród przewódzców romantycznej szkoły, przyświeca Michał Wörösmarty, autor *Czerkolamu*, *Króla Salomona*, *Dolny cudownej*, i innych czysto narodowych poematów.

Mimo wysokich zalet nie był on przecież najwyższym wyrazem ducha madziarskiego, Raz gdy siedział zagrzebany w księgach i papierach, wszedł do niego młodzian nieznajomy, prosił mistrza, aby pozwolił mu odczytać kilka zwrotek: było to w r. 1844. Wörösmurty przychylił się do prośby młodzieńca; po pierwszych słowach oko jego zabłysło, uśmiech spoczął na ustach. Gdy nieznajomy czytać przestał, mistrz zawołał z najwyższym zapałem: „Przyjacielu! tyś zaiste pierwszym węgierskim poetą“. Tym młodzieńcem był Sandor Petoefi.

Imię to przed laty trzydziestu, słonecznym promieniem błysło w madziarskiej literaturze; ale młody poeta uszczknął zaledwie pierwszą gałązkę tych bluszczów, jakiemi naród miał zwieńczyć jego pamięć. Piorunowa burza zebrała się nagle na widnokręgu; poeta rzuca lirę, pochwyca miecz z zapałem. Posłuchajmy jak opiewa tę chwilę:

W krąg chmury osnuły ojczysty dom,
Lśnią błyski ogniste, zwiastuny burz,
Niech wichry zaszumią, niech ryknie grom,
Na burze na gromy, jam gotów już!

O liro! umilknij, dość pieśni dość!
Już coraz to słabiej twe dźwięki drżą,
Dla duszy śpiewaka tyś miły gość,
Lecz struny twe szarą zabiegły rdzą.

Od boku mojego ty ustąp w cień,
Czy słyszysz? wyrzutem zeszczęknął miecz,
Ah! przyjdzież mi gnuśnieć po sądny dzień?
Chodź mieczu! precz liro, na długo precz!

Lira wypadła z rąk nowego Tyrteusza; poległ w wąwozach Siedmiogrodu. Proch ciała nie został nawet po nim, ale pozostała pieśń, którą dziś żyje cały naród. Brzmi ona zarówno po pałacach magnackich, ja pod cieniem ubogiej strzechy, wybiega z ust Guliasow i Czikosów stepowych, z ust matek nad kołyską niemowląt.

Obok Petoefiego wspomnijmy jeszcze imię Józefa Arany. Ten syn prostego włościanina urodzony w r. 1817, wykarmiony rodzinną piersią, pobierał nauki w Debreczynie dokąd ojciec oddał go, widząc w chłopcu niepospolitą zdolność. Za powrotem pod strzechę domową, utracił chęć do roli i pługa. Pchany w świat niepowstrzymanym pędem, uciekł z trupą wędrownych aktorów, przebiegał z nimi całe Węgry. Nagle uczuł gorycz wędrownego zawodu. Dnia jednego kiedy błąkał się samowolnie w pośród skał, stanęło mu w myśli ognisko domowe, które od lat kilku opuścił. Bolesne przeczucia zawładnęły silnie jego sercem. Niewiele myśląc puszcza się piechotą do domu, przebiega znów cały kraj, wreszcie głodny, wyczerpany z sił, istny syn marnotrawny staje w progu rodzicielskiej chaty.

Przeczucia nie zawiodły go, zastał w chacie umierającą matkę; pobłogosławiła go i skonała. Arany dotknięty żywo tym ciosem, widział w nim wyraźną karę Bożą. Poprzysiągł odtąd pozostać przy starym, ociemniałym ojcu, lękał się nawet książek, aby porwany ich urokiem, nie sprzeniewierzył się sam sobie, i raz jeszcze nie porzucił domu.

Przez lat trzy uczył dziatwę gramatyki łacińskiej. Pojął żonę, a owiany ciepłem domowego ogniska, czuł się na zawsze uleczonym z dawnej choroby; tak zwał poetyczne marzenia.

Iskra przecież tlała w młodej piersi, acz przysypana popiołem; pierwsze potrącenie miało z niej wykrzesać płomień święty. Spotkał się wreszcie z towarzyszem szkolnym Szalagim, znanym już wtedy erudytą. Słowa przyjaciela rozbudziły w nim dawny zapał. W pięć lat po owem spotkaniu, Towarzystwo Kiszpaludich przyznało Aranyemu nadzwyczajną nagrodę za najznakomitszy z jego utworów poetycznych.

Poemat ten p. t. Toldi, osnuty jest na dawnem podaniu madziarskiem. W XVI już wieku poeta ówczesny Piotr Hloszwai podjął był mityczną postać Toldego, i uczynił go bohaterem epopei a raczej kroniki rymowanej. Toldi, to żywe uosobienie madziarskiego ludu. Rosły jak dąb, krzepki, barczysty, nieustraszony, a obok tego prosty jak dziecko, cierpliwy jak anioł, ten olbrzym przez długi czas jest ofiarą niesprawiedliwości, aż nakoniec dopomina się praw swoich i umie je wywalczyć. Starszy brat Toldego pędzi życie na dworze królewskim i okiem wzgardy patrzy na brata rolnika, mimo że spożywa chléb, zapracowany przezeń w czoła pocie. Podstępem wydziera mu ojcowiznę; przemocą wypędza go z progu naddziadów. Toldi żyje długo ukryty w ciszy leśnej; występuje na widownię w chwili powszechnego niebezpieczeństwa. Ocala cześć korony węgierskiej, wkupuję się krwią własną w prawa, z których został wydziedziczony.

Arany przystroił to podanie całym blaskiem narodowej poezyi. Umiał zachować w opowieści, naiwną prostotę właściwą utworom ludowym, a przytem otoczył ją duchem rycerskim, ożywił akcyą dramatyczną.

Józef Arany zmarł przedwcześnie kilka lat temu, ale złote pióro pozostawił w spadku utalentowanemu synowi. Władysław Arany w poemacie bohaterskim ożywił krwawe zapasy Hunów. Obok niego Rakozi, Doczy, Eudródi i Abranyi, błyszczą dziś w poetycznym świecie: dwaj ostatni doprowadzili formę wiersza do wielkiej wytworności.

W powieści Maurycy Jockai prześcignął wszystkich, tak wartością jak niemniej wielką liczbą utworów. Urodzony w Komornie roku 1825, syn zamożnej rodziny, w dziesiątym roku życia kreślił już gładkie wierszyki, drukowano je w miejscowym dzienniku. Podczas pobytu w szkole, zaprzyjaźnił się z dwoma towarzyszami: jednym z nich był Sandor Petoefi, drugim Petritz Orlay. Ten ostatni zamierzał być poetą, Petoefi aktorem, Jockai zaś malarzem. Wszyscy trzej marzyli o przyszłych tryumfach: zdobyli je, lecz nie tam gdzie ich popychała młodzieńcza fantazya. Petoefi zabłysnął jako pierwszy wśród liryków współczesnych, Petritz Orlay dobił się sławy pendzlem, Jockai zasłynął w powieści.

Za przybyciem do Pesztu znalazł Jockai gorliwego opiekuna w Wörösmartym, wkrótce potem Akademia uwieńczyła jego dramat. Dwudziestoletni młodzian, napisał wtedy pierwszą powieść i nie mały zdobył nią rozgłos. W r. 1847 objął redakcyą tygodnika *Etelkepek*, a gdy w rok później rząd powstańczy zmuszony był usunąć się do Debreczyna, Jockai założył w tej zaimprowizowanej stolicy Węgier, pismo p. t. *Esti Lapok* (Kuryer wieczorny) organ umiarkowanego stronnictwa. Po klęsce wrócił do Peszta, zrazu uwięziony, wkrótce odzyskał wolność, zaczął znów pisywać do dzienników, pod pseudonimem Sajo. Następnie objął redakcyą dziennika *Hon* ojczyzna. Powołano go wtedy do Izby deputowanych.

Oprócz tych redaktorskich zajęć Jockai w ciągu dwódziesto-pięcio-letniej pracy, rzucił w świat sto pięćdziesiąt tomów. Wiele z nich przełożono na język niemiecki i angielski, niektóre są znane w tłomaczeniu polskiem. Imię Jockaja zyskało rzec można europejską popularność.

Wśród najznakomitszych przedstawicieli umysłowości madziarskiej, błyszczy Franciszek Pulszky dyrektor narodowego muzeum. Odgrywał on przeważną rolę w powstaniu 1848 roku. Po pamiętnej klęsce pod Vilagos, zabrano mu cały majątek. Pozbawiony wszelkich zasobów, osiadł w Londynie, tu pracował piórem na chleb powszedni. Żona, towarzyszka wygnania, dzieliła z nim prace literackie. Pamiętniki jej drukowane podówczas znalazły w kraju wielką wziętość. Pulszky następnie towarzyszył Koszutowi w podróży do Ameryki, powrócił do ojczyzny w r. 1867. Salon jego zasłynął odtąd w Peszcie. W każdą sobotę zbiera się tu najświetniejsze grono, złożone z wysokich dostojników kościoła, z mężów stanu, z uczonych, z poetów, artystów i dziennikarzy. Ktokolwiek zdobył imię, na polu pracy umysłowej, doznaje tu najżyczliwszego przyjęcia. Jeden z tych wieczorów opisuje Tissot ze zwykłą sobie werwą: „Tu, mówi on, Liszt rozprawia żywo z arcybiskupem, tam Jockai bada sławnego podróżnika Wambery, tu znów Biskup z Neusohl, rozmawia z Berenczem, dyrektorem zoologicznego ogrodu, o postępie w naukach przyrodniczych. Magnaci wyzywają na gawędkę dziennikarzy; bankierowie gwarzą z poetami; słowem marzenie o równości i braterstwie, nigdzie nie urzeczywistniło się lepiej jak w gościnnym salonie Pulszky'ego.

(d. n.)

Mgły poranne.

Mgła nad wodą się podnosi
W przedpogodne ranie,
A dziewczę co wodę nosi
Zamyślone stanie.

Patrzy, patrzy jak mgła siwa
Wzbija się pod słońce,
Przez nią słońce się dobywa
Jak nitki świecące.

I ta szara taka bru lna
Kiedy była nisko,
Zrobiła się taka cudna—
Dziwne widowisko!

Zamyśliło się stworzenie
O sukience złotej,
Aż jej przerwie zamyślenie
Anioł stróż sieroty.

Co tak patrzysz, duszo droga,
Czybyś zajrzeć miała?
Jak podniesiesz się do Boga
Będziesz jasna cała.

Teofil L........cz.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

TOM II.

(Dalszy ciąg).

Rozdział I.

Hrabina de la Fare jadąc z panem Chevalier, była początkowo nadzwyczajnie wesołą i rozmowną, pokrywając wybornie swobodną powierzchownością smutek i wewnętrzne rozdrażnienie. Skoro jednak kareta w szybkim biegu minęła ostatnie domy miasteczka, kapryśna kobieta bezwiednie utonęła w tysiącznych myślach cisnących się gwałtem do jej głowy, przerywając prawie nagle prowadzoną dotychczas rozmowę z nadzwyczajną żywością. W dumie swej postanowiła okazywać d'Avesnowi przy każdem spotkaniu najzupełniejszą obojętność, a raczej lodowatą grzeczność tak właściwą wielkiemu światu. Ze zgrozą myślała o kiełkujących w jej sercu uczuciach, a tem samem o powtórnie doznanym zawodzie miłosnym, bez względu na posiadane przez nią wdzięki i przymioty umysłu. Słabość swoją jednak chciała utaić przed d'Avesnem, aby uniknąć nader przykrego upokorzenia w oczach młodzieńca, nieumiejącego wytrwać w powziętem dla niej uczuciu.

Więcej niż serdeczne powitanie p. Chevalier, zabranie go z sobą do pałacu, a szczególniej pozorna wesołość, były w swoim rodzaju arcydziełami nie zostawiającemi nic do życzenia. Niepodobna było posunąć dalej lekceważenia dawnego zalotnika, przyjmującego udział w zajściu ulicznem z miłości dla innej kobiety.

Hrabina więc rada była z siebie, chociaż ta radość była nadzwyczajnie bolesną. Nagle jednak pamięć przywiodła jej wspomnienie wcale niezgodne z przybraną później postawą.

Było to owe przemówienie cierpkie do Eugenii zaraz po odejściu od okna. Różnica obejścia przed i potem była wielka, bijąca w oczy. d'Avesnes z łatwością mógł spostrzedz z opisu całej rozmowy i niespodzianego jej zakończenia, tajone uczucia hrabiny. Młodzieniec zanadto dobrze znał świat, aby pomimo wszelkich pozorów nie umiał rozpoznać prawdy.

Na samą tę myśl twarz jej poczerwieniała ze wstydu i upokorzenia.

Na nieszczęście, niepodobna było cofnąć tego co zaszło, ale zostały rozliczne środki zmniejszenia doniosłości nierozważnego postępku, szczególniej wpłynięcie na Chevalier'go, aby raz jeszcze zmienił zdanie i poparł prawa Eugenii do otrzymania wieńca cnoty.

Czyn podobny przedstawiał sposobność okazania wysokiej szlachetności z jej strony. D'Avesnes podejrzywając ją nawet o miłość, byłby niejako upokorzony objawioną przez nią wzniosłością uczuć. Dla zniweczenia zaś reszty pozorów, gotową była wziąć Eugenię do swego domu; matkować jej przy uroczystości, przeszkodzić jej dawnemu swemu wielbicielowi we wszelkich płochych zamiarach; w ostatku poprowadzić ją do ołtarza, jeżeli młodzieniec powziął stały zamiar uszczęśliwienia biednej panienki. Działanie podobne było niewątpliwie, trudne i bolesne, ale hrabina ufała w swoją zręczność.

Dla przeprowadzenia jednak tego, w ten sposób, koniecznem było współdziałanie p. Chevalier. Nie wątpiąc o wpływie na chwiejnego członka rady miejskiej, rzekła bez najmniejszego przygotowania.

— Przepraszam pana jak najmocniej za moje przedłużone milczenie, ale mimowoli myślałam o losie biednej Eugenii Laval, której powierzchowność i rozmowa ujęły mnie nadzwyczajnie. Wycierpiała ona wiele w życiu, po bohatersku staczała zacięty bój z przeciwnym losem i doprawdy rada miejska odmawiając jej przyznania wieńca, popełniłaby największą niesprawiedliwość. Wszak prawda panie Chevalier?

— Zdanie moje jest zupełnie odmienne, pani hrabino odpowiedział Chevalier z lodowatym wyrazem twarzy. Człowiek mojego stanowiska zaszczycony podwójnym wyborem swoich współmieszkańców, nie może zmieniać co chwila wniosków przez siebie stawianych. Eugenia Lawal usuniętą będzie z listy kandydatek, bo więcej niż kiedykolwiek chcę dać dowody stanowczości w moich wyobrażeniach.

Pani de la Fare z największem zadziwieniem spojrzała na swego towarzysza podróży.

Jakkolwiek Chevalier nie grzeszył zbytnią bystrością umysłu, jednakże nagła zmiana w postępowaniu hrabiny zastanowiła go bardzo. Dawne podejrzenie dotyczące tajemnych jej uczuć dla d'Avesna zwiększyło się. Eugenia Laval, wedle jego przekonania, była tylko środkiem ułatwiającym wzajemny stosunek dwojga młodych ludzi, żyjących w chwilowem nieporozumieniu.

Widocznie pani de la Fare była stroną zaczepiającą, inaczej niepodobna było wytłomaczyć nagłej zmiany w jej wyobrażeniach dotyczących Eugenii. Staraniem swem nakłoniła go do przyznania jej wieńca cnoty, a później niespodzianie została jej przeciwniczką. Obecnie zaś wracając do pierwotnych swych przekonań, ani mniej ani więcej, tylko w kilkunastu dniach zmieniała po raz trzeci zdanie.

Chevalier obrażony przedłużonem milczeniem

hrabiny, przypisał je smutkowi z nieobecności d'Avesna, udzielił też odpowiedź tonem zimnym, jakby obecność pięknej kobiety i jej życzenie nie obchodziły go wcale. Wszelkie rozumowania pani de la Fare, pozostały bez najmniejszego wpływu na umysł szanownego członka rady miejskiej. Nietylko nie uczynił zadosyć jej życzeniu, ale nadto zaklął się na zaszczytny znak noszony na piersiach, że Eugenia usuniętą będzie z listy kandydatek. Hrabina dostrzegłszy opór tam, gdzie była pewną zupełnej uległości, nie rozgniewała się, znajdując w smutku swym chwilowe roztargnienie. Choćby nie miała innych pobudek do rozciągnięcia opieki nad Eugenią, to już sama chęć pokonania uporu p. Chevalier, nakłoniłaby ją do tego.

Odgadując w części przyczynę niezadowolnienia swego towarzysza, z wielką zręcznością wróciła do dawniejszej wesołości, dowcipu i umiejętności prowadzenia rozmowy.

Po obiedzie ująwszy rękę gościa poszła z nim do ogrodu, zapytując o rozmaite rady dotyczące gospodarstwa. Każdą najdrobniejszą uwagę przez niego zrobioną, notowała pilnie w pamięci żądając od czasu do czasu dodatkowych objaśnień, jakby każde słowo szanownego dygnitarza miało dla niej nadzwyczajną wartość. W ostatku wszedłszy do cienistej altany, wydobyła z kieszeni list pisany przez jednego markiza, proszący o jej rękę dla swego syna. Objawiła w dalszej rozmowie bez ogródki chęć wejścia powtórnie w związki małżeńskie, ale jako wdowa patrzyła na świat okiem poważnym i nie nęciły jej wcale ani tytuł ani majątek, ale przedewszystkiem pragnęła znaleźć wartość osobistą w przyszłym swoim małżonku.

Mówiąc to hrabina spojrzała wzrokiem rzewnym na p. Chevalier, i na zawieszoną na jego piersiach wstążeczkę legii honorowej.

Szanowny członek rady miejskiej początkowo był zadziwiony, nietylko czulszem niż kiedykolwiek przyjęciem, ale nadto widocznem zawezwaniem przez hrabinę do wyraźniejszego mówienia. Potęgując odebrane wrażenia wysoką o swej wartości opinią, Chevalier zapomniał o d'Avesnie, o wzniecowych w jego sercu podejrzeniach, a stawionym przez siebie wniosku, o uroczystem przyrzeczeniu usunięcia Eugenii z listy kandydatek, i ukląkłszy przed hrabiną, wypowiedział jej w gorących słowach miłość swoją, błagając o rękę i przyrzekając zostać zawsze już nietylko najwierniejszym mężem, ale niewolnikiem, spełniającym jak najściślej wszelkie jej rozkazy.

Pani de la Fare nie odpowiedziała ani słowa, chwilowo zostawiła nawet dłoń w rękach swego wielbiciela, co stawiło go u szczytu szczęścia. Skoro jednak ten zamierzywszy wyzyskać wszelkie korzyści z odniesionego zwycięztwa, chciał przybliżyć usta swe do jej skroni, hrabina wstała szybko z zajmowanego miejsca, i wychodząc z altany rzekła:

— Jutro po śniadaniu dokończymy naszej rozmowy, a teraz chodźmy do pałacu, bo chłód wieczorny szkodzi mi nadzwyczajnie.

Nazajutrz mer miasteczka E... otrzymał list od pani de la Fare, powiadamiający go o zatrzymaniu p. Chevalier w jej pałacu. Tym sposobem, pisała hrabina, ubywa jeden członek nieprzyjazny Eugenii. Dwie strony za i przeciw są zupełnie równe, a tem samem głos pański będzie przeważający. Niech pan korzysta z tak pomyślnego obrotu rzeczy, aby podać rękę zacnej a nieszczęśliwej panience.

Z wysłaniem deputacyi do uwieńczonej proszę zaczekać aż do mego przyjazdu, bo chcę osobiście zawiadomić ją o tak pomyślnej nowinie, a zarazem objawić chęć matkowania jej podczas przyszłej uroczystości.

Mer miasteczka tak ze względu na przykładne życie Eugenii, jakoteż ze względu na swego siostrzeńca, którego bardzo kochał, uczynił z największą radością zadosyć życzeniu hrabiny.

Zwołana rada miejska, pomimo sarkania opozycyi, szczególniej przeciwko nieobecnemu Chevalier, wydała większością głosów uchwałę, przyznającą wieniec cnoty Eugenii Laval. Mer miasteczka, jakoteż dwaj inni członkowie rady miejskiej z większości, mieli zjechać do jej mieszkania, aby ją powiadomić o wyborze i złożyć odpowiednie powinszowanie.

Hrabina tak jak umiała zatrzymać tak potrafiła pozbyć się zręcznie p. Chevalier, skoro ten nie był jej więcej potrzebnym. Chciał on wprawdzie dokończyć rozmowę zaczętą w dniu wczorajszym, ale nieczuła kobieta odpowiedziała mu ze śmiechem.

— Do widzenia panie Chevalier, do widzenia, w przyszłą niedzielę wydaję bal, zapraszam cię do wszystkich kontredansów, jeżeli nie znajdziesz milszej dla siebie tanecznicy, a przytem proszę go na wice-gospodarza, bo życzę sobie, aby wszyscy moi wielbiciele obsłużeni byli należycie.

Zaproszeniem temu towarzyszył nader powabny uśmiech a jeszcze czulsze spojrzenie.

W kilka minut później hrabina wraz z deputacyą miejską jechała do zamku Verriéres celem powiadomienia Eugenii o wiadomej uchwale.

Tymczasem Pigrenier po wysłaniu karety, oczekując na przybycie swej ukochanej, zostawał pod wpływem wielkiego niepokoju i mimowolnej trwogi. Ogrom szczęścia przerażał go, nie śmiał prawie wierzyć, aby za parę godzin miał być spełnionym najdroższy cel jego życzeń.

W nocy spał jak najgorzej, w dzień po raz pierwszy nie miał chęci do jedzenia; nie mogąc usiedzieć na miejscu, przechodził z miejsca na miejsce, krocząc po obydwóch pałacach i zaglądając nawet do kuchni. Chcąc przyjąć Eugenię, w sposób o ile możności najwspanialszy, sprowadził z Paryża doborową orkiestrę; zdwojona służba w wspaniałej liberyi ustawiona w szeregi miała być przedstawiona ich młodej pani. Wedle obyczaju francuzkiego okna pałaców przystrojone były w chorągwie i rozliczne wieńce; strzelcy pilnujący lasów wystrzałami z dubeltówek i rewolwerów, a młodzi chłopcy odgłosem pukawek umyślnie na ten cel przygotowanych, objawiali swoją radość. Wysłany na pobliskie wzgórze konny posłaniec przy pomocy lunety przeglądał starannie drogę, aby za pierwszem dostrzeżeniem karety powiadomić o tem bezwłocznie swego pana.

Im bliższe było spotkanie z ukochaną tem biedny Pigrenier bardziej tracił przytomność. Serce jak młot uderzało w jego piersiach, twarz naprzemian czerwieniała jakby miał dostać apopleksyi, lub bladła jakby zostawał w ostatnim stopniu suchot.

Chodził przed pałacem przyspieszając lub zwalniając kroku, a nawet od czasu do czasu zatrzymywał się ruszając ustami. Układał bowiem w myśli przemowę do Eugenii, mającą być wyrazem jego miłości i poświęcenia bez granic. Od czasu do czasu jednak wchodził na wspaniały ganek zbudowany na podwyższeniu dziesięciu stopni, aby rzucić ztamtąd okiem na drogę bitą: opóźnione bowiem przybycie Eugenii dziwiło go i niepokoiło nadzwyczajnie. Z każdą chwilą niecierpliwość jego zwiększała się, krew wzburzona uderzała do głowy.

Nareszcie po długiem oczekiwaniu przybył na spienionym koniu jeździec stojący na czatach.

— Jadą! zawołał gromkim głosem.

To było hasłem dla orkiestry do rozpoczęcia hymnu na cześć przybywającej bogini, przerywanego strzałami broni ręcznej i odgłosami pukawek.

Widok zajeżdżającej karety uczynił nader silne wrażenie na biednym Karolu Pigrenier. Stracił zupełnie władzę w nogach tak jakby mu wrosły w ziemię, stał nieruchomy nie mogąc postąpić ani kroku. Dopiero Waksfeld pochwyciwszy go za rękę poprowadził gwałtem do karety. Zakochany młodzieniec doznawał nadzwyczajnego szumu i dzwonienia w uszach; jakiś czerwony pokrowiec rozpostarty przed oczami zakrywał mu wszystkie przedmioty. Stracił zupełnie wątek w głowie, nie mogąc powtórzyć ułożonej przemowy. Chcąc jednak okazać miłość i uwielbienie jakiemi jego serce było przejęte, wymawiał urywane wykrzykniki:

— Pani droga!... pani jedyna!... radość moja oślepia mnie!.. wszystko na twoje rozkazy!... służba ma cię więcej słuchać niż mnie samego!...

— Zacny młodzieńcze, odpowiedziała z godnością pani Lucas postanowiwszy utrzymać wyzyskane stanowisko, że nie dla Eugenii ale dla niej poczynione były wszystkie przygotowania.

— Zacny młodzieńcze, umiem ocenić wysoką szlachetność, to też w sercu mem przechowam dla ciebie wdzięczność dozgonną. Każdy twój smutek obleję łzami, każda twoja radość wzruszy mnie do głębi serca. Znajdziesz zawsze we mnie najserdeczniejszą przyjaciółkę. Wam zaś, mówiła zwracając się do służby, dziękuję za wasze przyzwoite wystąpienie na moje przyjęcie. Będę dla was panią nietylko sprawiedliwą ale i pobłażającą. Dzień dzisiejszy niech będzie uroczystością wiążącą serca wszystkich zebranych wzajemną życzliwością i zaufaniem.

Pani Lucas wpadłszy na tor wymowy, byłaby długo prawiła, ale Waksfeld chcąc nareszcie zobaczyć Eugenię wysunął się kilka kroków naprzód karety. Widząc staruszkę samą bez zapowiedzianej słynnej piękności, nie mógł powstrzymać głośnego śmiechu. Zajście było tak niespodziane i zabawne, że nawet służba pomimo należnego uszanowania dla swego pana, a szczególniej zebrani chłopcy, nie mogli powstrzymać hucznych objawów wesołości.

Odgłosy śmiechu przywiodły nareszcie do przytomności Karola Pigrenier.

— Jakto, pani przyjechałaś sama? zawołał z największym gniewem i oburzeniem.

— Wobec służby nie udzielam żadnych objaśnień, odpowiedziała z godnością pani Lucas, proszę panów wejść do mego pałacu, a tam odpowiem na wszelkie zapytania.

Pigrenier nie wierzył oczom własnym widząc postępowanie pani Lucas; posunęła ona śmiałość a raczej bezczelność do niesłychanego stopnia potęgi. Nie chcąc jednak przypuszczać aby Eugenia chciała wyzyskać podstępnie wiadome zobowiązanie piśmienne, zniewolonym był milczeć aby nareszcie posłyszeć rozwiązanie zagadki.

— Wcale nieźle urządzone, mówiła pani Lucas przechodząc z jednego pokoju do drugiego, dziękuję ci serdecznie panie Pigrenier, chociaż trzeba będzie porobić niektóre drobne poprawki. W salonie znajduję za wiele złota na gzymsach, a posągi trochę za wielkie. W sypialni trzeba będzie zmienić obicie, bo nie lubię koloru ciemnego.

— Łaskawa pani, zawołał Pigrenier, kiedy indziej mówić będziemy o podobnego rodzaju szczegółach, a teraz radbym wiedzieć gdzie jest panna Eugenia i dlaczego nie przyjechała?

— Prawdopodobnie przyjedzie odpowiedziała pani Lucas niedbale, a zwracając się do jednego z lokai postępujących za nimi jak cienie, rzekła tonem rozkazującym: Każ położyć trzy nakrycia w sali ja-

dalnej mniejszej. Panowie zostaną u mnie na śniadaniu. Niech podają takowe bo jestem głodna.

— Jakto, prawdopodobnie przyjedzie? ryknął Pigrenier w największem uniesieniu, czy pani sądzi...

— Nie znoszę nigdy i w żadnym razie podniesionego głosu, rzekła pani Lucas z z powagą przerywając mowę Karola Pigrenier. Wyjdźcie! rzekła głosem rozkazujacym do lokai, mówimy o interesach.

Zaczerpnąwszy drogą praktyczną pewnych wiadomości z nauki prawa, chciała wzmocnić będące w jej rękach zobowiązanie piśmienne, przez objęcie przy świadkach w posiadanie pałacu będącego jednym z warunków umowy.

Przeprowadziwszy zręcznie ułożony zamiar, nie życzyła sobie narażać cierpliwości młodzieńca na dalszą próbę, opowiedziała więc pokrótce wyrażone życzenie przez Eugenię, wzywając go o bezwłoczne wysłanie karety po jej przybraną córkę.

Pigrenier przerażony usłyszanem opowiadaniem, przeczuwał jakieś nieszczęście. Gdyby nie wzgląd na swoją ukochanę, to byłby rozbił czaszkę samolubnej kobiecie, mającej odwagę zostawić samotnie wychowanicę w chwili najważniejszej jej żywota. Teraz dopiero zwrócił uwagę na stan gorączkowy Eugenii uwydatniony silnie w dniu wczorajszym. Nie tracąc chwili czasu wskoczył do powozu, rozkazując woźnicy pędzić do zamku Verriéres o ile tylko konie wyskoczą.

W połowie drogi spostrzegłszy jeźdzca jadącego w jego kierunku z niemniejszym pośpiechem, był pewnym posłyszenia jakiejś złej nowiny. Odetchnął jednak swobodniej powziąwszy wiadomość jedynie o nagłej chorobie Bussona. Masztalerz wysłanym był do pani Busson dla zawezwania jej o jak najspieszniejsze przybycie celem czuwania nad chorym małżonkiem, a może nawet odebrania ostatnich jego zleceń. Jednocześnie wysłano karetę po doktora z Paryża przybyłego chwilowo do E...

Szczegóły te nie zajmowały wcale Pigrenier'ego, przerwał więc opowiadanie pytając o nowiny dotyczące Eugenii Laval. Masztalerz jednak oddawna już nie widział panienki nie umiał więc udzielić żadnej zadawalniającej odpowiedzi. Pigrenier przerywając nagle prowadzoną rozmowę kazał jechać dalej spiesznie, aby o ile możności wynagrodzić czas stracony na niepotrzebnej rozmowie.

Dojeżdżając nareszcie do zamku Verriéres, spostrzegł z największem zadziwieniem dwa powozy stojące przed oficynami, gdzie mieszkała Eugenia.

Pani de la Fare, mer miasteczka i dwaj członkowie rady miejskiej, napróżno stukali do drzwi i okien. Nikt nie odpowiadał na czynione wezwania i osoby przybyłe chciały już wracać napowrót, gdy niespodziane przybycie Karola Pigrenier i szczegóły przez niego opowiedziane zadziwiły nadzwyczajnie zebrane osoby. Młodzieniec nie wątpił ani na chwilę o obecności Eugenii w domu. Cichość panująca w jego wnętrzu, jakoteż uporczywe milczenie dziewicy były złowieszczemi objawami wzbudzającemi największą trwogę i niepokój w sercach wszystkich osób zebranych.

Od drugiej strony oficyn wychodzących na ogród słychać było skomlenie i ujadanie psa, na jakie początkowo nie zwracano wielkiej uwagi. Był to poczciwy Wierny, który chwilowo spełnił rozkaz Eugenii towarzysząc w podróży pani Lucas.

Przez cały czas jej obecności w E... nie odszedł ani na chwilę od karety, skoro jednak ta skierowała się na drogę zupełnie mu nieznaną, poczciwy pies widocznie z tego niezadowolony, biegł krokiem coraz więcej ociężałym, oglądając się często po za siebie. Nareszcie przystanął zwracajac głowę w stronę zamku Verriéres.

Po pewnem wahaniu przywiązanie do swej karmicielki przemogło: zawrócił drogą idąc zwolna ku znanym oficynom zamkowym i skoro tylko stanął u celu swej podróży, wiedziony niewątpliwie owym tajemniczym instynktem właściwym zwierzętom, przeczuł niebezpieczeństwo tam, gdzie rozum ludzki nie umiał go odgadnąć.

Przy wyciu i szczekaniu chciał koniecznie dostać się wewnątrz domu, ale okna i drzwi były zamknięte szczelnie, a pomoc nie przychodziła z zewnątrz, bo osoby będące w zamku przerażone chorobą Bussona, nie zwracały najmniejszej uwagi na psa ujadanie.

Wierny nie mając innego środka zobaczenia swej pani, skoczył do okna, wybił szybę, ale ciało jego zbyt wielkie niedozwoliło mu wejść do środka pokoju. Ostre kawałki szkła zraniły głęboko jego głowę i szyję, tak że cały był krwią zbroczony. Oddał jednak ważną usługę swej młodej pani ułatwiwszy przystęp świeżego powietrza, a zarazem odpływ dymu powstałego z palących się węgli. Dostrzegłszy nieszczęśliwą panienkę leżącą bez ruchu na podłodze, pojął doskonale całą wielkość niebezpieczeństwa, to też wycie jego i naszczekiwania były nadzwyczajnie żałośne.

(d. c. n.)

POGADANKA.

W liście do Biesiady (N. 221) powiada czcigodny nasz Jubilat: Czy znacie „*Jagodę Mazowieckich lasów*?. Nie wiem, bom o niej czytał tylko głuchą wzmiankę że się ukazała; a pewnie niejedne odświeżyła już usta, niejednego zachwyciła swą sielską wonią, nie w jednem uchu zagrała piosnkę dawno znaną a niemniej świeżą i wdzięczną. Głos to który długo słyszeć się nie dawał, ale nie postarzał i zachował cały dawny urok, głos w którym czuć prawdziwego poetę nucącego sielskie piosenki, na swoich strunach, swoim własnym, niedającym się naśladować językiem. Kwaśni ludzie zarzucali mu monotonię tej zawsze jedno brzmiącej struny, ale zarzut to płochy, bo struna brzmi różnemi tony i głos ten podnieść się umie, ale nie może przestać być sobą, i to właśnie stanowi jego oryginalność, jego najwyższą cenę. Tylko dusza śpiewaka umiłowała idealny świat rajskiej wioski i w nim żyje, i możnaż ją wyganiać z gniazda w którem się zrodziła i któremu przeniewierzyć się nie chce?

W „*Jagodzie*“ nie szukać kunsztownego pomysłu; urosło to z woni lasów, z rosy wieczornej, po deszczu letnim, pod sosną naszą, z niczego, ale rozkwitła blaskiem świeżego kwiatuszka i raduje jego wonią. Realizmowi dni dzisiejszych, może się „Jagoda“ nie wydawać dość kwaśną i gorzką, może dlań za wiele w niej słodyczy ideału nad prawdą powszednią, ale my starzy, nam się w tem wolno lubować i cieszyć. Posłuchajcież!

Tu Kraszewski przytacza wyjątek z poematu, idąc jego śladem podajemy także parę ustępów. Opisawszy tak rzewnie i serdecznie jak tylko autor „*Zachwycenia i Błogosławionej*“ pisać umie, przyjście na świat dzieciny w mazowieckiej chacie, jej kwilące i młodociane lata, rzeźbiarz, poeta mówi dalej:

„Przeszedł wiek szczęśliwy, złoty,
Łzy polały się stokrotnie,
I tak było mi samotnie
Żem aż wysechł od tęsknoty;
A czyż na to nie ma zioła?
Więc znalazło się przypadkiem,
Nie szukane, Bóg mi świadkiem.
Raz z wiaderkiem wyszło z sioła,
Jak poranek śliczna młoda,
Nazywała się *Jagoda*.

. . . .

Od miłości kto się skryje,
Tak też to jak od przypadku...
Coś ci w oczach się powije,
Jak, co, kiedy, ani wiadku...
Powitała, popatrzyła,
Po biednemu przyodziana,
I tak mnie się wydawała
Jakby nigdy nie widziana.

. . . .

Jakby słońce, moja miła
Na mych oczach się odbiła,
Gdzie się zwrócę, wszędzie, wszędzie
Złote kółka latające,
Chcesz czy nie chcesz, będzie słońce,
Chcesz czy nie chcesz, słońce będzie.
Jak przypadnie zakochanie,
To na wieki pozostanie.

. . . .

A tak biedna, sama jedna,
Była moja ta jedyna,
Jedna na niej sukienczyna,
I koszulka pono jedna.
Ale choćby i bez tego,
Czy ubóstwo to co złego?
Zechce mieć trzewiczki złote,
To ja pójdę na robotę.
Raz wieczorem, kiedy sioło
Mgła opada pod-księżyczna,
Lasy drzemią, pachnie zioło,
I powstaje zorza mleczna,
I dym ciągnie po ustroni
A do serca serce bieży,
Przyszła jakby przeciąg świeży,
Kiedym sobie myślał o niej.
Przybliżyła się i patrzy...
I tak śliczną główkę chyli?
Czyż był kiedy kto bogatszy,
Jak ja biedny w onej chwili.
Miesiąc świecił cichuteńko,
Wioska w mgle jak niebo w niebie,
Smutki jakbyś odjął ręką.
—Czy ja pewno widzę ciebie...
A toć przemów, miast przemowy
Uśmiech przeszedł ją najszczerszy,
A ja byłem jakiś nowy
Jakbym przejrzał po raz pierwszy;
I zapatrzon za tym dziwem
Był i żywym i nie żywym.
Coś się we mnie przemieniało,
Przechodziło krew i kości,
Coś ciągnęło, coś mnie rwało,
Jakiś wielki krzyk radości.
Wyciągnąłem ramion dwoje,
I w jej padłem ona w moje.
Długo trwały te uściski?...
Jedna chwilka z biednym biednej,
Lecz do grobu od kołyski
Dosyć takiej chwilki jednej!

. . . .

Niechaj żyje miłość szczera!
Lica płoną, serce bije,
Kto nie kocha, wciąż umiera,
A kto kocha, ten wciąż żyje.

. . . .

Tak się jakoś błogo żyje,
Tak zniewala wciąż do świata,
Kiedy kochasz, co tam brata!
Do serca byś garnął żmiję,
Wszystko odda choć z pod duszy,
Gdy miłuje ale szczerze,
Tylko niech mu tej nie bierze,
Tylko niech mu tej nie ruszy
Co mu w oczach światem, niebem,
Polem, pracą, zbożem, chlebem,
Ciszą, szczęściem i zbawieniem...

Zakończymy słowami J. I. Kraszewskiego: „Prawda jak to nam brzmi dziś dziwnie, miło a osobliwie, niby z dawnych czasów, choć nie tak starych, ale myśmy w ostatnich czasach przeżyli wieki. A! gdybyśmy to mogli nauczyć się tego że piękno bywa rozmaite i nie koniecznie przywdziewać musi nowy przepisany mundur a i tak zawsze pięknem pozostanie.“

Czcigodny jubilat zawstydził sprawozdawców warszawskich; ale doprawdy pojąć trudno, że gdy nieraz wyjście lada zeszytu wierszydeł bywa zaznaczane a często zachwalane bezmiernie, i autorom jeźli nie natychmiast to w niedalekiej przyszłości, obiecują wieniec nieśmiertelny, utwór tak piękny zaledwie w jednem z pism krótkiej doczekał się wzmianki. A przecież ta *Jagoda* tak rzewna, serdeczna, tak na wskroś nasza, iż tak, w salonach jak pod wieśniaczą strzechą znajdowaćby się powinna, bo i tu i tam zarówno zrozumianą i odczutą być może. Spodziewamy się że nauczka czcigodnego Jubilata „nie pójdzie w las“ i doczekamy się nareszcie sprawozdania któregoś z poważnych i sumiennych krytyków naszych.

Niepamiętny wylew Wisły poczynił straszne spustoszenia w Sandomierskiem; poznosił chaty, dobytek, zniszczył zasiewy, setki rodzin pozbawił mienia i przytułku. Straszna plaga głodu i wiernego jego towarzysza, tyfusu, zagraża nieszczęśliwym. A wszakże i to bracia nasi i w Sandomierskiem nie mniej jak na Szlązku nędzy, głodu, łez i rozpaczy! Do niesienia pomocy, biedakom już zawiązał się komitet i rozpoczął posiedzenia: kwesta wielkotygodniowa, przyniosła przeszło 1,500 rs. amatorowie dali przedstawienie w teatrze na dochód powodzią dotkniętych a hrabia Tarnowski przyrzekł przybyć do Warszawy, dla wypowiedzenia na ten cel dwóch odczytów. Szlązakom podobno już ziarna na chleb nie brakuje tylko na zasiew go nie dostaje. Niedoli tej lada czem nie zaspokoi, ale energiczne działanie komitetu pod prezydencyą p. Miarki, daje niepłonną nadzieję że i ta bieda usuniętą zostanie. Pamiętajmy więc o Sandomierzakach!

Redakcya „Wieczorów rodzinnych“ odebrała wezwanie autorki francuzkiej, p. Natalii Blanchet, zamierzającej wydać dzieło obejmujące biografie kobiet wszelkich narodowości i stanów, odznaczających się czy to wielkiemi zdolnościami czy też rozgłośnemi lub cichemi cnotami. „Powodowana szczególniejszem współczuciem dla waszego kraju, pisze pani Blanchet, jedno z pierwszych miejsc w książce mojej przeznaczam dla Polek; zwracam się więc do was o pomoc, abym mogła dać poznać w całym blasku, cnoty i zasługi waszych rodaczek. Przykłady wielkich cnót, miłosierdzia, poświęcenia, często dają się spotykać w waszej ojczyźnie, łatwo więc wam będzie wybrać z tych klejnotów niejedną perłę, godną nawet kosztowniejszego skarbca od mojej skromnej książeczki.“ P. Blanchet prosi nie o samo wymienienie nazwisk, dat i miejsc urodzenia ale choć o krótkie życiorysy, szczególniej kobiet współczesnych, obejmujące ważniejsze szczegóły z życia, charakteru, stanowiska i roli jaką w niem odegrały. Należałoby korzystać z tej sposobności aby dać poznać światu cnoty i zasługi niewiast polskich, materyałów nie zbraknie, trzeba tylko zająć się ich zebraniem. Oprócz zaleconego p. Blanchet przez J. I. Kraszewskiego dziełka Wójcickiego o kobietach polskich, oraz I tom dzieł Hofmanowej i biografii zaleconych przez znakomitego naszego bibliografa Estreicher'a, hrabi: Platera i p. Miłkowskiego z Genewy, powinnaby redakcya „Wiecz. rodz.“ starać się dowiedzieć, gdzie się obraca rękopism ś. p. Michała Gliszczyńskiego, który, o ile wiemy, opracował 2 tomy życiorysów znakomitych Polek: może znalazłyby się tam nieznane szczegóły.

Wiadomo że za lat dwa przypada dwóchset-letnia rocznica oswobodzenia Wiednia przez Sobieskiego, mająca tam być obchodzoną nadzwyczaj uroczyście. Sławny Makart urządza wspaniały pochód w którym będzie przedstawiony nasz Jan III, hetman Jabłonowski i wielu ówczesnych bohaterów. Z tego powodu wiele pism wiedeńskich zamieszcza różne artykuły odnoszące się do zbawy chrześciaństwa. Bohaterskie czyny Sobieskiego, upamiętnione są między innemi w słynnych obrazach Altomonti'ego, przedstawiających bitwy pod Wiedniem i pod Parkanami, znajdujących się w kościele w Żółkwi; otóż ksiądz Nowakowski, zasłużony zbieracz narodowych pamiątek, kazał wykonać z nich czarne i kolorowe reprodukcye, a galicyjski Wydział krajowy, zawiadomił o tem rady powiatowe i gminne, zachęcając do rozpowszechniania tych reprodukcyi między ludem wiejskim i dziatwą szkolną.

Paryzka *Gazette des beaux arts* za luty r. b. podaje nader zajmujący dla nas artykuł o odkryciu olbrzymiego modelu pomnika dla Jana III, wykonanego przez genialnego a prawie nieznanego dotąd artystę-rzeźbiarza, Piotra Vanneau. Autor artykułu, p. Maryusz Vachon, znakomity krytyk i znawca dzieł sztuki podróżując po Overnii, znalazł w wielu kościołach śliczne płaskorzeźby w drzewie, pochodzące z XVII wieku, głęboką, porywającą fantazyą i plastycznem poczuciem modelunku, zdradzające bezpośredni wpływ Michała Anioła. Dowiedział się że twórcą tych cennych rzeźb był nieznany rzeźbiarz prowincyonalny, Piotr Vanneau i że pozostawił prócz tego wielki, pomnikowy utwór, model pomnika na cześć króla polskiego, którego części znajdują się rozrzucone po prywatnych zbiorach. Po licznych poszukiwaniach p. Vachon odnalazł i oglądał wszystkie części. Dziwnym zbiegiem okoliczności, arcydzieło zapomnianego mistrza pojawia się właśnie w chwili kiedy zbliżający się jubileusz oswobodzenia Wiednia przypomina światu wielkie czyny polskiego bohatera. Piedestał pomnika stanowi dwie podstawy, których ściany pokryte są wielkiemi płaskorzeźbami. Na dolnem podwyższeniu wyrzeźbił artysta medalion z popiersiem Jana III, niesiony przez geniusz Zgody i Pokoju, bitwę pod Wiedniem w chwili gdy król uderza na Kara-Mustafa; apoteozę króla i wjazd tryumfalny do oswobodzonego Wiednia. Na dwóch krótszych ścianach górnego podwyższenia, z jednej strony znajduje się postać zwycięzkiej Siły spoczywającej na trofeach z chorągwi i zbroi, z drugiej Herkules dźwigający glob na swych barkach i depczący tureckie buńczuki i godła z pół księżycem. Płaskorzeźby ścian dłuższych przedstawiają: Śmierć islamu wyobrażoną przez orła z rozpostartemi skrzydłami, wydzierającemu serce konającemu muzułmaninowi; za orłem pochodnia wiary, za Turkiem krokodyl, jako znak ciemności. Oprócz tego na rogach górnego podwyższenia, umieścił artysta posągi dwu metrowej wysokości, przedstawiające okute w kajdany pokonane przez Sobieskiego narody. Szczyt wieńczy postać bohatera naszego, z koroną na głowie, w gronostajowym płaszczu, wsparta na nagim mieczu i przykuwającego ostrzem jego do podstawy łańcuchy kajdan zwyciężonych.

Ciekawem byłoby dociec, co mogło być artyście podnietą do przedsięwzięcia i wykonania modelu tego pomnika, który p. Vachon wynosi po nad wszelkie arcydzieła francuzkiej sztuki rzeźbienia na drzewie w XVII wieku? Czyby powodowało nim wyłącznie natchnienie wzbudzone bohaterstwem obrońcy chrześciaństwa? Wszak wiele arcydzieł genialnych mistrzów tym powstało sposobem.

A teraz gdzie to było — nie powiem, ale za prawdziwość zaręczam. Otóż jeden z bogatych naszych pół-panków, pragnący uchodzić za uczonego a przynajmniej za znawcę ojczystego piśmiennictwa, spotkał się w towarzystwie z jednym ze znakomitych naszych artystów i rozpoczął rozmowę. Wtem *ktoś* zaczął *coś* mówić o znajomym swoim, niejakim panu Antonim Zaleskim; wtedy *uczony* pół panek zapytał: „Czy ten pan *Antoni* jest ten sam *Bohdan* Zaleski, co napisał *Maryą Malczewskiego*?

Śmieszne to ale i smutne zarazem.

Pogłoska o wypuszczeniu obu teatrów miejscowych w prywatną dzierżawę, nie była płonną. Projekt kontraktu przedstawiono już wyższej władzy a ta przesłała go do opinii komitetowi dla podniesienia sceny naszej ustanowionego.

Gazeta i Kuryer Warszawski wystąpiły z obszernemi uwagami o tej spekulacyi. Nie ma wątpliwości, że gruntowne wywody prasy naszej peryodycznej znajdą uwzględnienie władzy czuwającej troskliwie nad dobrem publicznem.

O roślinach mięsożernych.

według prof. F. Cohna

podał

Józef Essmanowski.

Wzrok nasz z przyjemnością zatrzymuje się na kobiercu zielonym lasów i łąk, przeciwnie czuje coś odpychającego w smutnej jednostajności przestrzeni nieurodzajnych. Taki obraz smutny przedstawiają torfowiska Europy północnej.

Niezdatne dla kultury, grunt ich ruchomy zdaje się, że grozi pochłonięciem każdej istoty żyjącej — nie należy się więc dziwić, że wyobraźnia ludu, a pod wpływem jej i geniusz poetów, zaludnia te przestrzenie duchami i widziadłami, które wznoszą się nad błotem i giną w obłokach. Lecz dla naturalisty, szczególniej dla botanika, i w błotach są skarby ukryte. Tutaj pod brzozą krzewiastą znajdzie on często rzadkie storczyki, lub napotka cienką łodyżkę puchu błotnego (Eriophorum) główki białe, które zdają się być utkane z włókien bawełnianych,

Lecz między roślinami błotnemi zdziwienie największe wywołuje w nas rosiczka (Drosera). Na poduszce blado-zielonego mchu ścielą się jej okrągłe w kształcie rozety ułożone liście.

Na łodydze gładkiej umocowaną jest blaszka liściowa okrągła i wklęsła, powierzchnia której pokrytą jest włoskami koloru purpury zaopatrzonemi w główki tegoż koloru, podobne do główki śpilki. Liść rosiczki przypomina swym kształtem poduszeczkę roboczą nadzianą śpilkami, których wielkość zmniejsza się stopniowo ku środkowi, i które ułożone są kołem.

Przecięciowo na liściu rosiczki naliczyć można około 200 włosków. Na wszystkich główkach znaj-

dują się kropelki maleńkie, przy jasnem słońcu iskrzące się nakształt kamieni drogocennych, rosą. Ze środka pęku liści wznosi się w górę niewielka szypułka kwiatowa koloru jasno-czerwonego na której pojawia się 6 — 12 prześlicznych kwiatków.

Niełatwo jednak można zobaczyć kwitnięcie rosiczki: tylko podczas pełnego blasku słońca otwierają się jej białe kwiateczki; jeżeli zaś choć na minutę chmurka okryje słońce, delikatne bławaty kwiatu natychmiast chowają się pod skrzydło opiekuńcze kielicha. O ile kwiaty rosiczki czułe są na wpływ światła — o tyle, przeciwnie liście jej zdają się być pozbawione wszelkiego uczucia. Czy srogi wicher dmie nad błotem, czy deszcz kroplami potężnemi w nie uderza, liście i włoski nie okazują żadnego wrażenia. Lecz oto przez dolinę przelata komar, bystremi oczkami spostrzegł już błyszczące kropelki rosiczki, opuszcza się więc na jeden z włosków sterczących na brzegu liścia, i probuje swym ryjkiem wciągnąć w siebie wilgoć ułudną. Lecz w tejże samej chwili czuje, że coś mocno go trzyma: nie rosa błyszczy na główce włoska, lecz płyn lepki, w którym coraz więcej pogrążają się delikatne członki owadu. Czuje przybliżające się nieszczęście, którego uniknąć jednak nie jest w stanie pomimo wszelkich wysiłków z jego strony. Niezadługo liść cały wpada w stan niespokoju, włoski tegoż powoli, lecz silnie wyprężają się.

W oczach widza powiększają się krople, wyciskane przez główki, zdaje się że idzie im ślinka do ust na widok tak smacznego kąska; włoski przy swej osadzie zatrzęsły się i jakby las cały lancetów otaczają swą zdobycz, która w mękach przedśmiertnych czyni rozpaczliwe lecz próżne wysiłki w celu oswobodzenia się.

Już jeden włosek dotknął się jego szyi, drugi przycisnął główkę do jego grzbietu, dwa — trzy chwytają go z boku i w parę minut włosków dwanaście przyciska z całej siły owad nieszczęsny, ze wszystkich stron oblewa go płynem lepkim wydzielanym przez główki, w którym topiąc się śmierć znajduje.

Następnie włoski krańcowe oddają trup owadu włoskom sąsiednim, te następnym i t. d. dopóki zdobycz nie znajdzie się w środku liścia. Tutaj w niezadługim czasie włoski układają się w sposób podobny, że główki ich silnie wpijają się w trupa; nie liść zwyczajny teraz mamy przed oczyma naszemi, lecz zwierzę dzikie które silnemi pazurami wpiło się w swą zdobycz i ją pożera.

W pół godziny potem liść zamyka się kompletnie, i co się w wnętrzu jego dzieje widzieć niepodobna. Kiedy zaś, po przeciągu jednego lub dwóch dni, otworzy sie znowu, znajdziemy tylko szczątki owadów: skrzydła połamane, nóżki, twarde zewnętrzne pokrycie; części zaś miękkie wszystkie spożyte; płyn obfity, w którym zwierzę zginęło, znikł, główki włosków suche.

W parę godzin później włoski znowu stają w szyku bojowym, znowu na główkach ich zjawia się rosa i liść gotów jest łowić nową ofiarę, zabijać ją i spożywać.

Tragiczną tę scenę, tylko co opisaną, miał sposobność badać po raz pierwszy, w 1779 r. doktór Roth.

Za pokrewną rosiczce należy uważać roślinę, która po raz pierwszy znalezioną została w przeszłym stuleciu w lasach błotnistych Ameryki północnej. Na pierwszy rzut oka, roślina ta zdaje się być siostrą starszą rosiczki. Liście jej siedzą na szypułce szerokiej formy klina, prawie okrągłe, w pośrodku przez całą długość liścia zgięte, połówki zaś nachylone wzajemnie, w kształcie muszli nie zupełnie zamkniętej, lub książki nie całkiem otwartej. Na powierzchni wewnętrznej liścia, z środka każdej połówki sterczą trzy kolce ostre, oprócz tego brzegi liścia uzbrojone są w trzydzieści zębów cienkich i długich. Gdy nad rozetą zieloną liści wznosi się kształtna szypułka kwiatowa i na niej w pełni wdzięków rozwijają się duże białe kwiaty, natenczas pojmiemy, dlaczego kupiec londyński John Ellis, który, od przyjaciela swego z Ameryki, otrzymał w Europie pierwszy okaz tej rośliny, poświęcił ją bogini piękności (Venus Dione) i nadał jej nazwę kwiatu Wenery (Dionea muscicapa, muchołówka).

Liście Dionei posiadają szczególnego rodzaju czułość. Można trząść niemi, kłaść, pryskać wodą a nie wywołamy żadnej w nich przemiany; lecz potrzeba tylko dotknąć się bodajby słomką, jednego z sześciu kolców,—liść w tejże samej chwili zamyka się, podobnie do muszli zaniepokojonej; po przeciągu dwóch godzin liść otwiera się na nowo i te same doświadczenie powtórzyć napowrót można.

Coś czarującego dla istot latających, znajduje się w muchołówce, lecz co mianowicie, trudno jeszcze dotychczas określić; blaszka wierzchnia sucha, nie błyszczą na niej krople zdradzieckie, które służą jako przynęta w rosiczce. Wiadomo tylko, że w ogóle jasna barwa liści i kwiatów zwraca na się uwagę owadów, dlatego też można przypuszczać, że oczy ich znajdują jakiś urok szczególny w rozkosznych liściach Dionei, na której tarczy zielonej ręka natury rozsypała setki ciał purpurowych z brzegami rznietemi na kształt rubinów. Lecz nieszczęście grozi Tanenhejserowi skrzydlatemu, który nie był w stanie oprzéć się czarom tego prawdziwego kwiatu Wenery; zaledwie bowiem wpuści w zgięcie pomiędzy połówkami liścia swój ryjek ciekawy lub nóżkę i dotknie się jednego z sześciu kolców, — połówki natychmiast zamykają się i zęby liścia krzyżują się między sobą, nakształt palców u rąk zagradzając mu wyjście. Jeżeli biedak uwięziony jest bardzo mały, wtenczas będzie jeszcze w stanie przejść przez kraty swego więzienia, lub jeżeli jest dość silny, może uda mu się, ochłonąwszy ze strachu, rozłączyć zęby giętkiej plecionki.

Jeżeli zaś nie był w stanie wydobyć się na światło dzienne w pierwszej chwili, zginął nieodwołalnie. Podobnie jak w więzieniach inkwizycyi, w których sufit opuszczał się i zabijał więźnia powolnym ciśnieniem, także powoli lecz z siłą nieprzezwyciężaną ścianki liścia zatrzaśniętego duszą w swych objęciach nieszczęsną ofiarę, czy żuka dumnego, płochego motylka, lub muchę ciekawą.

John Ellis widział podobno, jak liść, w celu zagrodzenia ofierze wszelkiej drogi do ratunku, podczas zamykania się połówek, pogrążał w jej serce sześć kolców, — lecz w rzeczywistości nic podobnego nie ma miejsca; nie ma żadnego coup de grâce, który przyśpieszałby koniec walki ofiary ze śmiercią.

Kolce przy osadzie posiadają zgięcia, i w chwili zamykania się połówek, zginają się tylko, zwierzęta zaś giną z przyczyny płynu gryzącego, który obficie wydziela się z ciałek purpurowych liścia, i szybko rozpuszcza części miękkie ofiary. Po przeciągu tygodnia lub dwóch tygodni, ze zwierzęcia pozostaje tylko okrycie zewnętrzne, twarde; liść znowu suchy, zasadzka na nowo przygotowana i oczekiwanie nowej zdobyczy.

Lat sto temu, czy kto mógł przypuszczać, że rosiczka torfowisk Europy pokrewną jest z Dioneą błot kreolskich, że one są członkami jednej rodziny i prawdopodobnie jednego przodka wspólnego, w którego całym gatunku walka na śmierć i życie z owadami stała się dziedziczną.

Obecnie wiadomo że rodzina rosiczek zawiera w sobie sześć gatunków i więcej niż sto rodzajów, które rozsypane są po całej ziemi — od Laponii do Przylądka Dobrej Nadziei, od Kanady do Ziemi ognistej. Każdy rodzaj zajmuje po największej części przestrzeń niewielką, lecz rodzina cała z energią jednakową, chociaż bronią rozmaitą, prowadzi walkę zgubną przeciwko owadom.

Powiem jeszcze parę słów o jednej z roślin należących do tej rodziny krwiożerczej.

W 1847 roku, jeden aptekarz na Szlązku, znalazł roślinkę, która do tej pory uniknęła wzroku badawczego botaników sąsiednich; cienkie i długie jej łodyżki pływały po wodzie, na nich niedaleko od siebie grupowało się kilka listeczków delikatnych, na wierzchu zaś każdego z nich znajdował się woreczek, napełniony po największej części tylko powietrzem; woreczki te zdawało się, że służyły roślinie jako pęcherze do pływania. W niezadługim czasie botanicy doszli do przekonania, że okaz znaleziony znajduje się w pokrewieństwie z jednym rodzajem rodziny rosiczkowatych, obecności którego na Szlązku nikt nawet nie podejrzywał, albowiem ojczyzną jego są tylko wody południowe od Włoch aż do Indyi i Nowej Hollandyi. Roślina ta przezwaną została Aldrovandą, na cześć opiekuna nauk przyrodzonych i zoologa uczonego, który żył w wieku XVI.

(d. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

KILKA SŁÓW

o odczycie panny Maryi Deraismes.

Panna Marya Deraismes należy do niewielkiej liczby kobiet, dobijających się zupełnego równouprawnienia dwóch różnych płci rodu ludzkiego na zasadzie niezaprzeczonych przymiotów męzkich, tak pod względem moralnym jakoteż i fizycznym. Jest ona bardzo wykształconą, posiada wiele wiadomości, bujną nader wyobraźnię, niezaprzeczoną wytrwałość w przekonaniach politycznych, a przytem śmiałość i odwagę niepospolitą. Pod względem powierzchowności jest dobrego wzrostu, dobrze zbudowana, widocznie silna, twarz ma nader charakterystyczną i wyraziste rysy twarzy. Nazwisko jej jest dosyć głośne w Paryżu, chociaż nie używała w tym celu żadnych środków nadzwyczajnych. Inne Paryżanki chcąc zwrócić na siebie ogólną uwagę, udają się do ratusza części miasta przez nich zamieszkanej: domagając się uporczywie pomieszczenia ich nazwisk na liście wyborczej.

Panna Deraismes zawdzięcza sławę przez siebie zdobytą jedynie tylko swym zdolnościom literackim, co niewątpliwie jest dla niej niezaprzeczonym zaszczytem.

Ogromny cyrk Fernanda był prawie cały wypełniony przez ciekawych słuchaczy. Prelegentka mówiła z pamięci, początkowo wolno i ze spokojem, ale w miarę rozwoju przedmiotu widocznie krew poczęła coraz żywiej płynąć w jej żyłach, wyobraźnia zapalać się, wiele ustępów wypowiedzianych było z namaszczeniem prawdziwego natchnienia, i wśród prawie ogólnych oklasków, rzuciła klątwę potępienia na dwóch pierwszorzędnych pisarzy francuzkich: Emila Zolę i Wiktora Sardou.

Jaka jest przyczyna tyle surowego wyroku? Oto każde stronnictwo polityczne we Francyi uważa siebie za nieomylne, nie znosi najmniejszej krytyki, zapominając że często prawdziwym przyjacielem

nie jest ten co schlebia, ale ten co bez obawy o własną popularność, wskazuje niedostatki i wady.

Emil Zola wywołał dużą niechęć przeciwko sobie w pewnych kołach republikańskich, z powodu obranego przez siebie rodzaju prac literackich. Ośmiela się on malować z jak najgorszej strony niższe warstwy społeczeństwa francuzkiego, szczególniej zamieszkujące miasta. Radykaliści są oburzeni na niego, ponieważ prawnie lub nieprawnie uważają siebie za przedstawicieli tych warstw i przemawiają niby ich imieniem. Dążą oni do zjednania im przewagi w znaczeniu politycznem, a tymczasem Zola w kraju powszechnego głosowania, ukazuje nam *obywateli*, będących prawdziwym zakałem rodu ludzkiego, którzy jednak na zasadzie wyobrażeń krańcowych, mają zasiąść niezadługo na krzesłach senatorskich.

Bezwątpienia w pracach Zoli jest wiele przesady, mieliśmy sposobność poznania dokładnego robotniczej klasy w Paryżu; ludzie podawani przez niego jako typy należą do wyjątków nader rzadkich, ogół robotników jest zacny i poczciwy, czyż jednak z tej przyczyny można na niego rzucać kamieniem potępienia! Społeczeństwo ludzkie ma dwie strony: złą i dobrą: autorzy stosownie do swego usposobienia przedstawiają obrazy dotyczące jednej lub drugiej strony, zazwyczaj światło i cienie ułożone artystycznie wypełniają przedmiot obrazu. Nie odmawiajmy jednak nikomu prawa malowania samych szpetnych obrazów, jeżeli rodzaj talentu popycha go w tym kierunku. Zola przesadził, zgoda na to, ale ostatecznie powiedział zarazem wiele prawdy, którą poznać dokładnie nie będzie bez korzyści dla radykalistów, jaką chcących opierać działalność swą na warstwach najniższych.

Panna Marya Deraismes będąc zwolenniczką krańcowych wyobrażeń nie lubi się bawić w pół środki, ale tak pochwałę jak naganę posuwa do ostateczności. Biedny Zola pomieszczony w liczbie najnędzniejszych pismaków oskarżony jeszcze został o szerzenie wyobrażeń monarchicznych. Akt oskarżenia ułożonym został na podstawie nader zabawnej którą opiszemy pokrótce choćby ze względu na jej oryginalność.

W powieści Nana znajduje się ustęp następujący:

Podniosła się pełna majestatu i z gestem królowej rzekła:

— Idź precz ś..... Va-t-en cochon!

Szanowna prelegentka w określeniu tem nie chce dopatrywać mniej więcej zręcznie ułożonego dowcipu zasadzającego się na silnie narysowanym i najmniej spodziewanym kontraście. Wedle jej zdania, naiwni tylko ludzie mogą patrzeć na przedmiot z tego stanowiska, ona zaś jako obdarzona bystrym wzrokiem dostrzega łatwo grożące niebezpieczeństwo. Zola zdradza rzeczpospolitę jest gorliwym zwolennikiem Henryka V, co gorsza usiłuje rozwijać w narodzie francuzkim wyobrażenia monarchiczne, przywiązując do osoby królowej majestat i gest szlachetności. Panna Marya Deraismes prawdopodobnie za wzorem Kromwela kazałaby zamieścić w Ojcze nasz: przyjdź rzeczpospolita Twoja. Ostrożność zbyteczna, radykaliści i radykalistki nie mówią pacierza, a tem samem unikają tyle niebezpiecznej wzmianki o królestwie.

Jeżeli potępiony Zola, cóż dopiero mówić o Wiktorze Sardou, który już nie domyślnie ale jawnie wręcz i publicznie ośmiela się wytykać błędy republikanów. Prelegentka skazałaby go chętnie na stos, gdyby takowy nie był symbolem wieków średnich. Dziwna rzecz jak wręcz przeciwne stronnictwa polityczne odznaczone są jednemi i temi samemi wadami. Żadne z nich nie umie znieść najłagodniejszej krytyki chociażby napisanej w widokach najbardziej przyjaznych. Dosyć wytknąć wadę jakąkolwiek aby być natychmiast obrzuconym błotem i zniewagami.

Krytyka jednak panny Maryi Deraismes, chociaż zręczna i dowcipna, była jednak nader powierzchowną. W pracy p. Sardou nie dopatruje nic więcej jak tylko przedstawienia radykalistów jako ludzi słabych i chwiejnych i bez najmniejszych zasad. W taki sposób zapatrywała się prawdopodobnie i publiczność francuzka przyjąwszy okrzykiem zgrozy wymienione na scenie nazwisko autora.

Być nawet może że Sardou jako monarchista miał na celu wymienioną dążność, ale w rzeczywistości inną wskazówkę można zaczerpnąć z odegranego w ostatnich czasach utworu dramatycznego. Pisarz francuzki przedstawiając Amerykankę przywiązaną nadzwyczajnie do ustawy właściwej jej ojczyźnie a przytem gorliwą chrześciankę, dał żywy przykład możliwości pogodzenia religii z wolnością polityczną, a tem samem zwalczą zwycięzko zakorzenione we Francyi odmienne przekonanie. Republikanie głębiej myślący, nietylko nie powinni się gniewać na Wiktora Sardou, ale powinni się zastanowić głęboko nad poruszaną kwestyę przez słynnego pisarza dramatycznego.

OPIS RYCINY KOLOROWÉJ.

Ubranie wizytowe. Suknia z długą tuniką i stanikiem z baskiną odrobiona z białego kaszmiru i pluszu crême, z którego dana plisa przy tunice i przyozdobienie spódnicy. Plusz użyty jest również na długi wcinany paletot i na kapelusz zdobny białą materyą i piórami. Pelerynka z szerokiej fałdowanej koronki; takaż koronka przy kieszeniach i rękawach.

Ubranie domowe. Fular w kolorowe deseniowe pasy służy na spódniczkę, ułożoną w szerokie i głębokie kontrafałdy, tunika i stanik z ciemnego kaszmiru bordeau, przybrane takimż atłasem.

Ubranie dla małego chłopczyka. Krótka fałdowana sukienka z wełnianego materyału w szkocką kratę, dopełniona długim otwartym z przodu kaftanikiem aksamitnym, z pod którego widać białą bluzkę. Czapeczka i szarfa szkocka jedwabna.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: **Do J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Марта 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 15 r. 1880.

SAWANTKA.

przez

mistres Annie Edwardes

przekład z angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Podczas tych jego dowodzeń nawet na bladą twarz cioci Hosi żywy wystąpił rumieniec. Miss Teodora siedząca na brzegu krzesła, wydawała się sztywniejszą niż kiedykolwiek; zaś stara miss Izabella Vansittart, której miss Teodora zawczasu nakładła w uszy jak ważną ma odegrać rolę, utkwiła w Barrego Chester swe wypełzłe oczy i wypowiedziała poważnie ten niejasny axiomat: „Postępowanie i przeznaczenie."

„Tak, tak, postępowanie, o to właśnie chodzi, rzekła miss Teodora, chcąc, jak to mówią przycisnąć go do ściany.—Nieodżałowany nasz tatko zawsze powtarzał dzieciom swoim: uganiajcie się za majątkiem, jeźli chcecie, ale nie zapominajcie że jest coś stokroć droższego i szacowniejszego nad wszelkie skarby, a tem jest „dobre postępowanie." Co zaś do spuszczania się na los i wypadki, na te chyba ostatni głupiec liczyć może... Spuszczać się na szczęśliwy wypadek!.. O bądź pewny, panie Chester, że jeźli wydarzy ci się jakiś wypadek, to najniezawodniej niepomyślny.

Wypowiedział kilka oklepanych frazesów o bodowli koni... wynająć, mówił, kilka akrów zarośli od gminy Querée... hodować małe konie normandzkie... na targ do Angellerne...

Ale miss Teodora przerwała mu:

„Hodować konie na wysepce którą pokryłby całą jednym numerem *Union-Jack!*... wyjdzie to na jedno jak gdyby kto dowodził że można zrobić majątek hodując ostrygi na równinach Salisbury!... Czyż kiedykolwiek zarobiłeś pan co na koniach? proszę, odpowiedz szczerze, panie Chester, czy tak dobra sława twoja jakoteż i kieszeń zyskały cośkolwiek od czasu ożenienia twego na stosunkach twoich z *turf'em*, na owych *steeple-chases*, wyścigach, strzelaniu do gołębi i t. p.?

Była to strzała zatruta. Misses Vansittart miały na wyspie dość liczne znajomości, ciocia Hosia w pośród ludności pracującej, miss Teodora w pośród osób żadnej nie oddających się pracy, tak więc ze wszech stron dochodziły do nich wcale nie budujące historye o *tranzakcyach sport'owych* pana Barrego Chester. Po pijanemu stawiał zakłady a wypierał się ich wytrzeźwiawszy; różni *gentlemen riders* robili zarzuty że grając w karty dopuszcza się szacherstw, mówiono także iż wszczyna najniecniejsze kłótnie, kończące się zawsze upadlającemi go przeproszeniami. Te i więcej jeszcze poniżające go wieści, biegały teraz po całej okolicy.

— Nie chcę słuchać dłużej podobnej mowy! zawołał nareszcie unosząc się gniewem; wolno mi robić z mojemi pieniędzmi co mi się podoba.—co zaś do moich długów honorowych...

— A! co do honoru, to najlepiej nie wspominaj pan o nim, przerwała miss Teodora. Zaraz po ślubie oddałyśmy panu do rąk cały posag Dafny, (tak było rzeczywiście, ale cała summa wynosiła 300 czy 400 funtów) z wyraźnem zastrzeżeniem że zostanie użyty na koszta waszego osiedlenia się w Virginii...

— A jeźli zastanowiwszy się przekonałem się że był to zamiar nierozsądny!... zawołał. Co zaś do mego kapitału. . tu podniósł oczy w górę, założył ręce i patrząc w sufit gwizdnął znacząco. Doszedł już tego stopnia zobojętnienia, kiedy człowiek czując że nie ma nic do stracenia, na wszystko mówi sobie: a niech tam!... Nie dbał już o nic, nawet o swoją opinię i stanowisko.

— Zapewnie ma to oznaczać że kapitał pana jest bardzo maluczki, rzekła miss Teodora, a słowa więzły jej w gardle gdyż pojmowała cały ogrom przygniatającego ich nieszczęścia.—Więc skoro tak jest, a my w żaden sposób nie możemy prosić pana o przedłużenie swych *odwiedzin* w Fief-la-Reine (a jak straszny nacisk położyła na wyrazie odwiedzin) tem pilniej więc powinieneś pan starać się o wynalezienie sobie jakiejś chlebodajnej pracy.

— Pracy! powtórzył; jakiejż to pracy oddać się może człowiek z mojem wychowaniem? a pokazując białe swe ręce; dodał: Czemże mam zostać, cieślą czy kowalem?

— Rozumiem to dobrze iż nie potrafisz pan oddać się żadnej pracy, ale tyle jest na świecie posad zajętych przez ludzi których jedyną do nich kwalifikacyą jest tylko niezaprzeczona nieudolność, że pod tym względem możesz i pan być spokojny. Tyle jest mniejszych posad rządowych, które mógłbyś pan dostać za wysoką protekcyą swoich przyjaciół, naprzykład Stamers'ów z Warwickshire.

— A niech dyabli porwą Stamers'ów z Warwickshire!

Wymawiając to przekleństwo, jednocześnie tak silnie nogą uderzył w komin, że aż gips opadł z wielkim hałasem, a dwóch Chińczyków stojących na rogach zaczęli tak gwałtownie kiwać głowami, iż trzeba się było obawiać że sprężyny się popsują.

Miss Teodora Vansittart nie odpowiedziała ani słowa; podniosła się, zapaliła świecę stojącą na stole, podała rękę starszej siostrze i wyszły poważnie z pokoju a za niemi ciocia Hosia.

Barry Chester pozostał sam.

Sam, zupełnie sam, a deszcz i wicher dmący wśród czarnej nocy, wydawał się jakby żałobnym jękiem zmarnowanej jego młodości. Czuł że wszystko się skończyło, że stracił schronienie, utrzymanie i pieniądze, a wszystko to z powodu złych nałogów i poniżających znajomości i stosunków.

Nazajutrz nastała ponura i zimna niedziela, która na długo wyryła się w pamięci biednej Dafne. Ranek, pan Chester jak zwykle spędził w swoim pokoju; obiad przeszedł w groźnem milczeniu przerywanem jedynie urywanemi ogólnikami wypowiedzianemi przez miss Teodorę. Po obiedzie, Chester nie zważając na wicher i drobny grad zalatujący od morza, wyszedł do ogrodu i godzinę przeszło chodził nierównym krokiem po tarasie tam i napowrót, zapalając cygaro po cygarze, ze spuszczoną głową, skrzyżowanemi rękami na piersiach. Dafne nie wiedząca o niczem, patrzyła na niegó niewidziana, miotana jakąś niepojętą obawą. Po dziś dzień nie może stanąć w jednem z okien domu, aby, choćby w najpiękniejsze i gorące lato, nie przypomnieć sobie tej zimnej i ponurej niedzieli, oraz posępnej, zakłopotanej postawy Barrego Chester. Z nadejściem nocy, Chester zawiadomił nagle że nazajutrz rano wyjeżdża do Londynu, dodając że nie chce aby ktokolwiek mu towarzyszył lub wstał z nim się żegnać. Umówił się już z Jankiem i ten ma musię postarać o bryczkę która odwiezie go przededniem do stacyi sztemerów. Propozycyę aby Dafne towarzyszyła mu do Londynu, odrzucił z największym gniewem. Jemu wymówiono pobyt w Fiefla-Reine, ale jej zapewnie wolno pozostać; niech więc jak najdłużej korzysta z tego przytułku... Skoro koniecznie go się dopytują, powiada więc że jedzie do Londynu starać się o jakąś posadę; obecność żony... (tu zaklął siarczyście) zniewalałaby go do wydatków jakich ponosić nie jest w stanie (tu znów przyzwał miliony szatanów). Co do pisania, a no tak, naturalnie...

Oto jak odpowiadał, z okrutną nieczułością, właściwą nikczemnemu jego charakterowi, podczas gdy drżące ręce młodej żony obejmowały jego szyję, a usta dotykały jego twarzy. Gotów był przyrzec co tylko chciano, byle tylko uniknąć scen i ataków nerwowych, i żeby Dafne raczyła zapomnieć o nim jak tylko wyjedzie. Jeźliby kupcy lub ktokolwiek z miasteczka pytał o niego, ma powiedzieć że pojechał za interesami które nie prędko dozwolą mu powrócić, i odmawiać przyjęcia wszelkich nadsełanych do niego listów, z powodu że nie ma sposobu ich przesełania...

Biedna Dafne całą noc spędziła bezsennie, opłakując palącemi łzami oddalenie się najniegodniejszego z niegodnych miłości kobiety.

Równo ze świtem Janek zajechał z bryczką; usłyszawszy turkot, Dafne wysiłkiem woli stłumiła łkanie „bojąc się rozgniewać biednego Barrego" który raczył wejść na chwilę, złożył na jej czole zimny pocałunek, i obojętnie wypowiedział pożegnanie... które miało być ostatniem.

Dręczony obawą co odpowie gdyby zażądano od niego rachunku z małego posagu żony, pan Chester pożegnawszy żonę chciał wysunąć się niepostrzeżenie, gdy wtem wszedłszy do przedpokoju, zastał w nim ciocię Hosię z zaczerwienionemi oczami, zdradzającemi noc bezsennie spędzoną.

— A! doprawdy miss Vansittart, zupełnie niepotrzebnie...

Nie dała mu dokończyć i biorąc go za rękę wsunęła w nią mały woreczek zawierający drobne jej oszczędności. Pieniądze te były wyłączną jej własnością, mogła więc niemi rozporządzać.

— Mąż naszej Dafne, mówiła, nie powinien opuszczać nas zagniewany, ani uważać jej ofiary za ubliżającą. Mała ta sumka może mu się przydać skoro teraz nie ma pieniędzy, będzie mógł oddać jak poprawi się jego położenie. Życzyła mu powodzenia i dodała iż jest pewną że znajdzie posadę, jeźli tylko gorliwie starać się o nią będzie... Nareszcie prosiła aby przyrzekł jej iż ze względu na Dafne regularnie pisywać będzie.

Czy uwierzycie, Czytelnicy, że Barry Chester zawahał się chwilę; *jemu* nawet przyszło na myśl że

zabranie pieniędzy cioci Hosi równało się okradzeniu dziecka. Dość że się zawahał — ale trwało to parę sekund—poczem schował woreczek do kieszeni wybąknął kilka niezrozumiałych słów o... prześladującym go losie, o jego mocno dotkniętej dumie, o prędkiem oddaniu, i wybiegł nie spojrzawszy w oczy cioci Hosi.

Zapewnie ciocia Hosia w całem życiu swojem nie popełniła drugiej podobnej niedorzeczności, ale niedorzeczność ta była jedną z tych co miłe po sobie pozostawiają wspomnienie. W nastających smutnych dniach po wyjeździe Barrego Chester, była to jedyna chwila z długiego jego pobytu którą bez goryczy przypominała sobie. Zawsze umiejąca dopatrzeć czegoś dobrego w najgorszych nawet rzeczach, pamiętała — nie to że Chester wziął pieniądze—ale że zawahał się chwilę, i z tej błahej wskazówki wywnioskowała że nie zupełnie zatarło się w nim jeszcze poczucie honoru, więc może jeszcze upamiętać się i na dobrą powrócić drogę.

Dobra, nieoceniona miss Hortensya umiała zawsze przemówić na korzyść największych grzeszników.

„My kobiety, mówiła, idące po bezpiecznej życia drodze, nie mamy pojęcia o pokusach jakie mężczyzn pociągać mogą.“

Od owej chwili, życie biednej Dafne stało się jednym nieprzerwanym ciągiem smutków i zmartwień. Minęło dwa tygodnie bez żadnej od Barrego wiadomości; wieść o nagłym jego wyjeździe prędko rozeszła się po okolicy; porzucił żonę, mówiono, i uciekł nie popłaciwszy długów, tak honorowych jak innych.

Napisał nareszcie do żony, zawiadamiając że niepodobna mu wracać, że ona może, jeźli chce koniecznie, pisywać do niego, ale on nie uważa za potrzebne odpisywać. Przesłał adres pod którym odbierać będzie listy w Londynie, dodając że jeźli zajdzie jakaś szczęśliwa zmiana w majątkowem jego położeniu, nie omieszka ją zawiadomić o tem. Ale ani słówkiem nie wyraził żalu że ją opuścić musiał. Cały list jego mógłby być napisany bez zmiany do miss Teodory, do kogoś zupełnie obcego, lub nawet do któregoś z dłużników, a nie do żony której przywiązanie towarzyszyło mu zawsze i wszędzie, której każda myśl była nieustanną za niego modlitwą, której wszystkie zamiary odnosiły się do niego... Serce biednej Dafne zostało złamane, ale wierność pozostała niezachwianą.

Biedny Barry nie lubi pisać, i oto powód jego milczenia, mówiła sobie, ale niechno tylko będzie mógł donieść jej coś pomyślnego, napisze niezawodnie. Wtedy listy jego będą dłuższe i częstsze, i ona przestanie trapić się bezpotrzebnie z powodu niezbędnego rozłączenia, będzie mogła być zupełnie spokojna. Co zaś do tak niekorzystnych rozchodzących się o nim wieści, nie wierzyła w nie zupełnie — były te niecne potwarze ropuszczane przez złe języki. Niech tylko poprawi się zachwiane chwilowo jego położenie, a zapłaci wszystkie długi,— cóż znaczy dwieście lub trzysta funtów dla człowieka obdarzonego tak wielkiemi zdolnościami jak Barry.... Niech tylko dadzą mu czas rozejrzeć się, upatrzeć odpowiednią posadę i poruszyć wysokie swoje stosunki, a wszystko będzie dobrze. Tymczasem...

Tymczasem — gdy lekkie kwiaty wiśni i tarniny zaczynały zaścielać ulice, Pawełek ujrzał światło dzienne.

Jak powiedzieliśmy, Dafne długo wszystko znosiła odważnie, ale osłabienie fizyczne wywołało reakcyę moralną odnośnie do przeszłości, pozbawiło ją snu i spokoju. Zapadła ciężko, i długie minęły tygodnie, zanim doktorzy mogli nareszcie zapewnić, a ciocia Hosia uwierzyć że niebezpieczeństwo minęło.

O mężu Dafne mówiła tylko w malignie, nie żądając jego obecności, na dziecię spoglądała ze smutkiem, nie ciesząc się z jego przyjścia na świat. Niestety! cięższe jeszcze czekało ją zmartwienie.

Gdy nareszcie blade jej usta wyszeptały zapytanie o Barrego, ciocia Hosia nie wiedziała co odpowiedzieć. Jak tu powiedzieć zaledwie wracającej do życia że opuścił ją na zawsze, że biedna dziecina którą przyciskała do piersi, jest więcej niż sierotą?

Pan Chester pisał tylko dwa razy w ciągu długiej choroby żony. W pierwszym liście zawiadamiał krótko i sucho iż odebrał zawiadomienie o urodzeniu syna, w drugim donosił zimno że wyjeżdża do Ameryki. Pomimo najusilniejszych starań nie mógł znaleźć posady w Anglii; zawiodły go zapewnienia i obietnice przyjaciół, na które zdawało mu się może liczyć z pewnością. Po opłaceniu miejsca na statku mającym dowieźć go do Nowego-Yorku, gdzie prawdopodobnie przyjdzie mu umierać z głodu, pozostało mu nie całe dziesięć funtów. Nie ma najmniejszej potrzeby aby Dafne pisywała do niego; małżeństwo ich było „wielkim błędem“ zarówno dla obojga — lepiej więc zapomnieć o niem i uważać za niebyłe. Spodziewa się że Dafne, powodując się miłosierdziem chrześcianki, przebaczy przykrości jakie mógł jej sprawić, i zapomni o nim. Obecnie odpływa do Ameryki pod przybranem nazwiskiem, daremnie więc staranoby się odkryć gdzie zamieszka, przeszłość zamarła już i nie może odżyć, nie pozostaje więc obojgu jak rozpocząć nowe życie, któreby zatarło nawet wspomnienie dawnego.

Jednem słowem tak dziecko jak żonę opuszczał na zawsze.

Dafne zniosła cios jaki w nią ugodził, tak niby spokojnie na pozór, iż ze względu na jej wiek młodociany nie można było się spodziewać prędkiego odzyskania utraconego spokoju — wiadomo że tylko gwałtowna boleść prędko zw, kle przemija.

Wśród natłoku myśli cisnących się jej do głowy, przeważała może nad innemi myśl iż jest to niepodobieństwo aby na zawsze już pożegnała się ze szczęściem. Miała dopiero lat dziewiętnaście, słońce wiosenne opromieniało pączki pierwszych róż wiosennych, ptaszki śpiewały tak wesoło, i jakże mogła przypuszczać nieskończoną rozpacz! Trzeba było pewnego przeciągu czasu, o którym wyrażają się bezmyślnie że leczy wszystkie cierpienia, a który przeciwnie głębiej je ryje w duszy, aby nauczyła się poznać i ocenić ogrom swego nieszczęścia. Ale gdy raz zaczęła wtajemniczać się w to a, b, c, cierpień i boleści, nie była ani niepojętną ani opieszałą uczennicą. Zostając żoną Barrego Chester, oddała wszystko, tak przynajmniej wierzyła, a czyż wierzenia nasze nie bywają niekiedy silniejsze od faktów rzeczywistych? — a więc tracąc męża traciła wszystko, przywiedzioną była do zupełnego bankructwa.

Ciocia Hosia, pojmowała z właściwą tkliwym sercom przenikliwością, że zostawiona naturze, rana prędzej się zagoi, i nigdy ani słówkiem nie wspominała jej o zbiegłym mężu. Ale miss Teodora, daleko więcej mająca współczucia dla boleści głośnej i krzykliwej, niż dla tłumionej rozpaczy i cichego smutku, nie pochwalała bynajmniej i nie myślała naśladować podobnego postępowania. Była ona zwolenniczką gwałtownych środków leczenia cierpień bliźnich, przekładała żelazną prawicę kowala, nad stalową rękę chirurga.

I dla tego, jeszcze podczas choroby Dafny uważała sobie za obowiązek napisać i wysłać rodzaj okólnika do wszystkich wiadomych jej znajomych pana Chester; (myślę że do ich liczby musiała zaliczyć i Stamers'ów z Warwickshire) tym sposobem pościągała rozmaite wiadomości, i w przekonaniu że spełnia świętą powinność, powtarzała wszystko siostrzenicy, w chwilach największego jej smutku i boleści.

„Boleśne to, moje dziecko, mówiła, ale zarazem możesz się przekonać za jakim to niegodziwcem tak gorzkie łzy wylewasz.“

„Barry Chester jest potomkiem jakiejś wyklętej rassy, pisała do miss Teodory jedna z jej nieznajomych korrespondentek, zostająca może pod wpływem osobistych uraz i niechęci, skutkiem czego atrament jej w żółć się zamienił. Tak dziad jak ojciec jego byli nędznikami, zatem ich wnuk i syn, jak wszyscy zresztą Chester'owie, już przychodząc na świat przynosił z sobą zaród wszelkich wad i zdrożności, odziedziczonych po przodkach. Choć nie znam pani Chester, kończyła, winszuję jej szczerze iż rozstała się z takim nikczemnikiem, i została uwolniona od podobnego męża: Z dziada pradziada wszyscy Chester'owie okrywali hańbą i pogrążali w rozpaczy kochające ich kobiety — tak zawsze było i będzie dopóką „ten niecny ród nie zaginie.“

Straszne to były słowa; to też zdawało się Dafne że każda składająca je zgłoska patrzy na nią okrutnemi oczami, a wpływ ich jak plama od trucizny, rozchodzi się na wszystkie zamknięte jeszcze stronnice młodocianego jej życia.

A więc i dziecię trzymane na ręku które zaczynało już się uśmiechać do niej, odziedziczyło ten nieszczęsny spadek!... Tak; tak niezawodnie... i czuła że i ona i synek jej nie unikną zgubnych następstw nieubłaganego prawa, jakiem fatalność piętnuje swoje ofiary.

Róże zakwitły i powiędły na swych gałązkach; śpiew żniwiarzy rozległ się i ucichł w przestrzeni: blade światło księżyca przyświecało jak dawniej; zielone liście pożółkły, zimny deszcz listopadowy zaczął rosić ziemię—a Dafne błąkając się samotna pod ołowianem niebem po nad morskiem wybrzeżem, zrozumiała nareszcie że i dla niej nadeszła zima życia. W kwiecie młodości, samotna w pustym świecie, stała się igraszką ślepego losu, podczas gdy uczucia będące fibrami i krwią jej serca, pozostały na zawsze zamarłe i zniweczone.

Gdyby Chester nie był umarł, może przygniatające ją nieszczęście byłoby z czasem uległo pewnej zmianie, gdyż potrzebując pinięzy byłby najniezawodniej odniósł się o nie do misses Vansittart, a Dafne, tak litościwa i skłonna do przebaczenia, za pierwszym listem żądającym pojednania i pieniędzy, przyzwałaby męża i zapomniała win jego. Ale list taki nie nadszedł; w rok po porzuceniu żony, Barry Chester umarł w Londynie, śmiercią godną jego życia. Doniesienie o emigracyi do Ameryki było wierutnem kłamstwem, wymyślonem jedynie w celu uniknienia niemiłych nalegań aby się starał koniecznie o jakieś zajęcie w Anglii. Właściciel hotelu w którym Chester umarł, odesłał do Fief-la-Reine parę drobnych bez wartości przedmiotów będących jego własnością, dołączając zarazem rachunek należności za doktora, aptekę i zapłatę za mieszkanie, z nadmienieniem że zmarły zapewnił go najuroczyściej iż rodzina jego najniezawodniej cały dług zapłaci.

Barry Chester nie napisał do żony ani słówka żalu, ani wspomniał o dziecku i kobiecie której zatruł życie i na zawsze pozbawił szczęścia. Przypuszczają zazwyczaj, — przynajmniej tak podają w powieściach że śmierć — największego nawet nędznika, otacza pewną aureolą — Barry Chester umierał jak żył. Przez życie całe nie powstała w umyśle jego ani jedna myśl szlachetniejsza, troszczył się jedynie o zasycenie swych niecnych, samolubnych zachciewek—i umarł nie wypowiedziawszy ani jednego słówka mogącego osłodzić ciężką boleść wiernego i kochającego serca żony.

I oto dla czego pomimo ładnych rysów, pięknej cery i różowych kolorków, wyraz jej twarzy był tak smutny i beznadziejny, oczy patrzyły blado i smętnie jakby zagasłe oczy starości—i mając lat dwadzieścia dwa, uważała że rachunek jej z życiem na zawsze został zamknięty.

VI.

Tegoczesna Sawantka.

Dawno, bardzo dawno przedtem zanim tegoczesna młodzież "uznała za zasadę że: zupełnem jest niepodobieństwem wzbudzić w człowieku poczucie wrażeń całkiem nowych i nieznanych, wyczerpali już ten przedmiot myśliciele i filozofowie—pomimo tego mogę przecież zapewnić że wzajemny do siebie stosunek sir Johna Severn i pani Chester nie był pozbawiony pewnej oryginalności. Widzieć młodą, piękną i skromną kobietę, pierwszej zaraz chwili znajomości rzucającą się do nóg i okrywającą ręce nasze gorącemi pocałunkami—coś podobnego nie przytrafia się chyba ani jednemu na tysiąc. A dodajmy że ten na kogoby to wielkiego nie wywarło wrażenia, musiałby chyba być strasznie zatwardziałym sceptykiem.

Sir John Severn ma lat dwadzieścia pięć; nie był nigdy i nie jest cynikiem, a choć na listach do Klementyny Hardcastle podpisuje się „kochający i całkiem oddany" i miniaturę jej już od trzech lat nosi przy sobie, w rzeczywistości nigdy jeszcze nie kochał. To też gdy na drugi dzień po wyratowaniu Pawełka miał zobaczyć się z panią Chester, gdy ujrzał ją podchodzącą ku niemu spokojną i nie zmieszaną bynajmniej, i z miłym uśmiechem podającą mu rękę na przywitanie, sir John z wielkiem swojem zadziwieniem zarumienił się i po raz pierwszy w życiu zrozumiał znaczenie słowa nieśmiałość.

Gdyby nawet widok Dafne nie był zdolny wzbudzić zajęcia, to już to co dowiedział się o jej smutnej doli, musiałoby wzniecić w sercu jego poszanowanie i litość. Jeżli do współczucia dołączymy tak urocze wspomnienie jak owe pocałunki ust świeżych jak korale—to chyba czytelnik nie weźmie mu za złe jego onieśmielenia. Zresztą powiedzieliśmy wyżej że sir John Severn to tylko utracił z młodzieńczości swojej, co zachowania nie było warte.

„Myślałam już że znów zabłądziłeś pan w naszych krętych dróżynach, lub zapomniawszy danej nam obietnicy, odjechałeś do Anglii..."

Temi słowy przywitała go Dafne: patrząc na jej słodką twarzyczkę, otoczoną jakby aureolą koroną jasno-złotych włosów, na jej ciemne oczy, z tak czystem, anielskiem spojrzeniem, zdawało się sir John'owi że widzi przed sobą jedną z dziewic Rafaela.

„A tak pragnęłam serdecznie podziękować panu i wyrazić mu nieograniczoną wdzięczność moją! Całą noc oka zamknąć nie mogłam myśląc jak zimne i słabe musiały się panu wydać słowa moje, ale (tu głos jej zadrżał i łzy w nim czuć było) tak okropnie byłam przerażona, że nie wiedziałam co mówię i co robię..."

Szczęściem dla sir John'a (który choć czuł bardzo żywo nawet w okolicznościach w których lepiej było być nieczułym, przecież zarówno jak każdy Anglik czystej krwi nie umiał powiedzieć miłego słówka ilekroć najwięcejby tego pragnął) Pawełek przybiegł do matki, ubrany więcej niż skromnie, w kapelusiku noszącym widoczne znaki wczorajszej topieli ale z twarzyczką promieniejącą szczęściem.

„Panie Angliku, zawołał zapominając przemowy jakiej go matka nauczyła, proszę pójdź bawić się ze mną i z innemi dziećmi.

I pochwyciwszy za rękę sir Severn'a, pociągnął go ku gromadzie dzieci biegającej to w prawo to w lewo, rad niewymownie z nowego towarzysza zabaw.

W okolicy Fief-la-Reine, prace rolne odbywają się wspólnemi siłami, gdyż wieśniacy, właściciele gruntów, zachowali dotąd zeszło-wieczne pojęcia małych fermierów angielskich pod względem pracy płatnej. Małe ich posiadłości dostarczają im dość pszenicy na chleb, mają także własną słoninę, sery i jabłecznik; pieniądz uważają jako rzecz odrębną, niemal jakby za świętość, którą należy zachowywać jak najtroskliwiej, czyścić od czasu do czasu jak łyżki familijne i z którą chyba w największej ostateczności można się rozstać. W skutek tego, w tym oddalonym kącie przechowały się dotąd wszelkie wiejskie uczty i zabawy, które kapitał i maszyny wygnały już z całej Anglii.

Podczas robót około roli, dziesięciu czy dwunastu właścicieli okolicznych zgromadzają się z kolei na wieczerzę do posiadacza uprawianej roli, i to powtarza się przy sadzeniu kartofli, żniw i sianożęcia. Poczęstunek podawany jest w polu i składa się z herbaty, jabłeczniku, przekąsek, z dodaniem śpiewek, śmiechów i plotek ile kto zechce.

Łąki cioci Hosi nie przypominały bynajmniej wzorowych ferm angielskich nie było na nich machin parowych do koszenia ani ustawiania stogów, wszystko odbywało się zeszłowiecznym sposobem. W pośród gromadki kosiarzy były dzieci nie wiele większe od Pawełka; starcy pracowali ochoczo obok swoich synów, nawet pochyleni, drżący dziadkowie opuścili swoje zagrody, aby pod jasnem niebem wypić szklankę herbaty, podaną ręką dobrej, powszechnie kochanej cioci Hosi.

Młodzi i starzy cisną się zarówno do sir John'a Severn aby doń serdecznem przemówić słowem; wyobraźnia tych poczciwych ludzi ozdobiła już pierś jego krzyżem Wiktoryi. Gdyby rozumiał choć trochę angielsko-francuzkie narzecze jakiem do niego przemawiają, rumieniłby się niezawodnie słysząc wygłaszane na cześć swoją pochwały. Dziesiątki rąk spracowanych uścisnęło dłoń jego. Gdy ukończono sianożęcie a Janek i Małgośka roznosili napój więcej pokrzepiający od herbaty, wniesiono i spełniono duszkiem zdrowie sir John'a, w pośród gorących i głośnych okrzyków.

Stanęło nareszcie na tem aby go na wieczór zaprosić do Fief-la-Reine.

„Przez nas nie jadłeś pan obiadu w właściwej porze, rzekła ciocia Hosia kładąc rękę na ramieniu młodzieńca, więc teraz chcąc nie chcąc musisz pójść z nami do fermy na wieczerzę.

— A ponieważ lubisz pan sztuki piękne, dodała ze słodkim uśmiechem miss Teodora (która właśnie przybyła na łąkę w eleganckim krótkim kostiumie i okrągłym kapelusiku). więc pani Chester i ja pokażemy panu nasze próbki akwarelli. W młodocianych latach okazywałam wielkie do malarstwa zdolności, tak że professor mój, signor Pinuti czy Pincelli czy tam coś podobnego, ubolewał z tego względu że biedny nasz tatko zajmował tak wysokie stanowisko społeczne...

— Niestety, przerwała rumieniąc się Dafne, nie mamy tu w Fief-la-Reine żadnego signore Pinuti, a roboty nasze nie warte oglądania a jeszcze przez kogoś co tak wiele podróżował jak sir John Severn i zapewnie widział prawdziwe dzieła sztuki. Cóż kogoś obcego obchodzić mogą słabe nasze próbki.

— Cofnij pani ubliżający wyraz „obcego" gdyż inaczej udam się stąd prosto do portu — odrzekł orzucając Dafne spojrzeniem które wywołało rumieniec na jej lica — wsiądę na statek odpływający wieczorem do New-Haven i...

— I nim poranek zaświta, zapomnisz pan że Querée istnieje na świecie, dokończyła Dafne.

Tak rozmawiając, pozostali nieco za drugimi idąc obok siebie wązką drożyną; sir John niósł widły i grabie, pani Chester zawiesiła na ręku zdjęty z głowy kapelusz, dzbanuszek oparła na ramieniu, przez co wyglądali jak pan i pani z wiejskiej komedyi, wybierający się na sielskie *flirtation*.

Na dolinie, coraz większy cień padał na trawy i paprocie; gdy weszli do lasku, przez zielone nad głowami ich roztaczające się sklepienie, tu i owdzie przedzierały się ostatnie świetlane promienie, ozłacając swym blaskiem śliczną główkę Dafne.

„Czy nie zechcesz pan zrobić choć małej o nas wzmianki w swoim notesiku? rzekła Dafne do towarzysza; co do nas, dodała smutnie, bądź pan pewnym że jeżli która z nas żyć będzie jeszcze, i za trzydzieści lat nie zapomnimy o panu. Tak rzadko zdarza się u nas w Querée cośniezwykłego i tak rzadko pojawia się ktoś nieznany, iż zapomnieć niepodobna. Odtąd na wieczornicach naszych w przeddzień Bożego Narodzenia, nieomylnie wnoszone będzie zdrowie *pana angielskiego* i powtarzać się to jeszcze będzie corocznie w czerwcu podczas sianożęcia, tak pewno jak dwa a dwa cztery... Pan, wśród świata prędko zapomnisz o nas — zapisz więc w notesiku choćby nazwę Fief-la-Reine i datę dzisiejszą, aby ci przypominała że w dniu tym zachowałeś biednej matce jedyną, ostatnią jej pociechę."

W innych okolicznościach, dźwięk głosu i spojrzenie towarzyszące tym słowom, mogłoby obudzić próżność choćby najmniej próżnego człowieka;—ale wypowiedziane przez Dafne Chester oznaczają to jedynie co i wczorajsze pocałunki: gorącą, bezgraniczną wdzięczność dla zbawcy Pawełka. Gdyby zamiast dwudziestu pięciu, sir John Severn miał lat sześćdziesiąt, Dafne jednakowe miałaby dla niego uczucie, jednakiem obejmowałaby go spojrzeniem i równie słodkim obdarzała uśmiechem—tylko w takim razie wszystko to inaczej oddziaływałoby na niego.

— Jeżli rzeczywiście życzysz sobie pani, abym nie zapomniał o Fief-la-Reine i jego mieszkańcach, (nadmienić wypada, że skoro była jakaś Klementyna, głos sir Severn'a był może trochę za czuły) abym zachował w pamięci wszystko co odnosi się do Querée, pozwól mi naszkicować swój i małego Pawełka portret. Chciałbym odmalować panią tak jak jesteś w tej chwili.

— W perkalikowej sukience, w ogrodowym kapeluszu, z twarzą opaloną skutkiem ośmio-godzinnego pobytu na słońcu i z dzbankiem na ramieniu—

dopieroż to miałbyś pan śliczny portret! odrzekła z uśmiechem.

Od czasu opuszczenia przez męża, taka apatya owładnęła zrozpaczoną Dafne, iż przywykła nie więcej od cioci Hosi troszczyć się o powierzchowność swoją w tej jednak chwili młodość zawrzała w niej jak sok w drzewach owianych kwietniowem tchnieniem. Przypomniała sobie że jest młoda i ładna, że ma piękne złote warkocze, cerę delikatną!...

— Więc nie chcesz pan abym swój „malowniczy ubiór“ zastąpiła świątecznemi szaty, jak nasi wieśniacy gdy idą *dać się zdjąć* fotografowi?

— Chciałbym abyś pani była ubrana zupełnie tak jak wczoraj gdy spotkałem cię w polu.

— Z owym listem w ręku... Ach! sir Severn, gdybyś go był nie zgubił..

— Pani Chester nie byłaby mi wskazała starej wieżycy w zatoce Querée, ktoś inny byłby Pawełka dostawił na ląd i w tej chwili... Ale po co robić dalsze przypuszczenia... „Moja korrespondentka“ ani się domyśla jak szczęśliwe list jej sprowadził następstwa.

Najniezawodniej „moja korrespondentka“ osądziłaby że następstwa już za daleko zaszły, gdyby spojrzenia jej, przebiegając sto mil oddzielających Londyn od Jersey, zatrzymały się tego wieczora w zatoce Querée.

Białe i jasne światło dzienne zmieniło się w delikatne cienie perłowej konchy i opalu; skały, morze, oddal, zjednoczyły się i znikły w czystem i bezchmurnem niebios sklepieniu. Zdawałoby się że ziemia i niebiosa jedną tworzą całość, że prozaiczny nasz planeta, ten padół pracy, łez i nędzy mający stać się nam grobem, zniknął zupełnie ze świetlanego horyzontu.

Severn i pani Chester, spędziwszy z sobą długie godziny, wpatrują się teraz w wschodzące gwiazdy, jak niedawno wpatrywali się w zachodzące słońce na wybrzeżach Querée. Małgośka ujęła Pawełka w swe silne ramiona i zaniosła do łóżeczka. Misses Vansittart z obawy reumatyzmu przeszły do salonu — tak więc *ich dwoje* zostali zupełnie sami... Cisza i spokój zaległy do koła, najlżejszy szelest nie rozlega się z żadnej strony. Możnaby wziąść małą tę wysepkę za jakąś błogosławioną krainę, maleńką ustroń wśród niezmierzonej przestrzeni, w której nie było nikogo prócz ich *dwojga*.

— A tak, mówiła Dafne—zwróciwszy ku sir Severn'owi spokojną swą twarzyczkę opromienioną różowemi odblaskami zachodu,—rozmawiamy jak starzy znajomi, a nic nie wiemy o sobie, i znamy się zaledwie z nazwiska. Zamieszkując w miejscowości tak odosobnionej, życie upływa jak we śnie, nareszcie umieramy nie mając historyi. Jestem w Fief-la-Reine od lat ośmnastu i co rok widzę jednakie zasiewy i zbiory, suszę lub wilgoć.

— Ależ w wieku pani...

— Wiek nie zależy od liczby lat, przerwała poważnie; ja od dwóch miesięcy zaczęłam rok dwudziesty trzeci.

— Od dwóch miesięcy!... I jak zwykle ludzie w podeszłym wieku, chełpisz się pani z tak sędziwej starości.

— Zdaje mi się że mam lat pięćdziesiąt, że skończyłam już rachunek z życiem... Pan, to zupełnie co innego, dodała spoglądając na niego z litością, pan obok mnie jesteś młodzieniaszkiem, zaledwie żyć zaczynającym.

— No, jak na początek, nie brak mi doświadczenia, odpowiedział. Gdy przed dziewięciu laty przybyłem do Woolwich, uważałem się za skończonego pod każdym względem człowieka,—aż tu teraz, po trzechletniem pobycie w Indyach z których właśnie wracam, nazwałaś mnie pani młodzieniaszkiem—a to okropnie!

— Więc trzy ostatnie lata przepędziłeś pan w Indyach, odrzekła spuszczając oczy i rysując palcem na stole jakąś chińską pagodę, musiałeś pan odpłynąć tam bardzo, bardzo młodym; i przez cały ten przeciąg czasu nie byłeś pan w Anglii.

— Nie byłem, teraz dopiero wracam.

— Zdaje się nie śpieszysz się pan z powrotem do Londynu?

W miarę jak Dafne doprowadza do tego aby John Severn powiedział co wiedzieć pragnie, chińska pagoda wznosi się coraz wyżej, zdobiąc minaretami i kopułami.

— Nic nie nagli, a chciałem odwiedzić szkolnego kolegę, *młodzieniaszka* w moim wieku; biedak ożenił się i osiedlił w Bretanii. Bawiłem dwa tygodnie między Paryżem a Saint-Malo, poczem Murray przypomniał mi obowiązki mego położenia. „W tych będąc stronach, pedróżnik powinien korzystać ze sposobności i zwiedzić wyspy la Manche.“ Poszedłem za jego radą.

— Tak więc.... owa pani co list ten pisała nie widziała pana od trzech lat? zawołała Dafne, jednym rzutem ręki zmazując pagodę i żywo podnosząc oczy na Severn'a. Zapewnie znajdzie pana zmienionym, bo choćby odbierała co tydzień nową fotografię, niepodobna mieć nieustannie w pamięci i na oczach twarz jakąś przez tak długi przeciąg czasu.

Prawdę tak nagą wypowiedzieć tylko może osoba zupełnie nie znająca konwenansów światowych lub zostająca w bardzo ścisłych stosunkach z osobą której to mówi. Sir John spojrzał na Dafne, a widząc poważną jej twarzyczkę, jej czyste usta nie zdolne zmazać się jakiemś zalotnem słówkiem, powziął nagłe postanowienie aby dać jej poznać swoje położenie. Wszak nie wolno mu jej kochać a uwielbienie jego nie powinno przekraczać granic artystycznego uwielbienia, zatem wyjawienie jej swych zobowiązań, będzie najlepszą przeciw temu rękojmią. Biedna Dafne! jak gdyby i bez tego nie dźwigała już ciężaru na swych słabych ramionach.

— Masz pani słuszność, i zapewnie nie pod tym jednym tylko względem oboje znajdziemy się zmienieni. Znaliśmy się zaledwie sześć tygodni i oboje byliśmy prawie dziećmi, a szczególniej miss Hardcastle, gdy odebrałem rozkaz udania się do Indyi... Bez żadnego namysłu zamieniliśmy nasze wzajemne przyrzeczenia, i kto wie czy teraz nie przekonamy się żeśmy bardzo zbłądzili.

I sir John Severn opowiedział jej dzieje swojej miłości, tak zimno i obojętnie jakby opisywał stopniowy postęp jakiegoś obłędu. Mówił o balu na którym stał się ofiarą trzydziestu sześciu metrów białej gazy, girlandki jaśminu i względów pochlebiających jego próżności: o bukiecie miss Hardcastle zachowanym jako skarb nieoceniony, o ukradkowych bilecikach miłosnych, nareszcie o oświadczeniu, zezwoleniu rodziców i zamianie pierścionków.

Dafne milczała długo, długo. Nie ulega wątpliwości że serce jej zamarło, że nie wierzy i nie spodziewa się szczęścia, a jedynem uczuciem jakie żywić może dla sir John'a Severn, jest uczucie wdzięczności, zupełnie takie same jakiego doświadczała dla doktora Goriot, gdy jej Pawełka uleczył z odry. A jednak dowiedziawszy się iż sir John jest zaręczony, nie mogła zdobyć się na słowa powinszowania. Dafne pomimo wszystkiego jest istotą ludzką, a wszak w każdem choćby czysto braterskiem uczuciu żyjącem w sercu człowieka, istnieje zaród zazdrości.

— Na przyszłość, rzekła nareszcie spokojnym głosem, więcej niż dotąd ufać będę mojej przenikliwości. Znalazłszy ten list pomyślałam zaraz że jest od... od kogoś co pan kochasz. Pojmuję że pragniesz pan jak najprędzej powrócić do Anglii; po trzech letniem rozłączeniu, godziny mogą zdawać się wiekami.

— Ależ, odrzekł Severn, oboje nie jesteśmy bardzo romantyczni (nie jest to prawdą przynajmniej co do niego, ale może mu się tak zdaje); miss Hardcastle jest... zdaje się iż gdybym miał określić ją jednem słowem (przygotuj się pani na coś niezwykłego, uderzającego) powiedziałbym że jest ona trochę, trochę jak to mówią *sawantką*.

— *Sawantką!* zawołała Dafne, z boleśnem poczuciem swej nieumiejętności, a w wyobraźni jej pojawiło się coś bezmiernego, groźnego, nadzwyczajnego.

— Przestarzałe to wyrażenie, mówił sir John, a jednak dziś gdy zakres wiedzy kobiecej tak bezmiernie się rozszerza, nie wiem doprawdy czemby je zastąpić.

— Ależ sama ta nazwa ma w sobie coś przerażającego; ciotki moje mówiły mi o miss Treminer, miss Porter i miss Hannie More...

— Och! tegoczesne *sawantki* utworzone są według całkiem innych wzorów, i całkiem inaczej się objawiają, że tak powiem, posługując się ich wyrażeniami. Tegoczesna *sawantka* nie zna nic co nie może być zważone, ujęte lub obserwowane przez *spektroskop*. Jeżli ktoś jest takim prostaczkiem iż wierzy że ma duszę, ona mu powie że jest to tylko dystylacya, przepędzenie natury nieorganicznej przez świat roślinny i zwierzęcy. Rozprawia z wielką łatwością o atomach, molekułach i najrozmaitszych doświadczeniach, ale, jeżli jest ładna, fryzuje grzywkę nad czołem, a wyraz *ludzkość* pisze zawsze przez wielkie L.

— Jeżli tak, odrzekła Dafne, zapominając o grzeczności w zapale szczerości, to przyznaję że nie chciałabym nigdy w życiu spotkać się z tegoczesną *sawantką*.

— A jednak pewnie spotkasz się pani z miss Hardcastle, rzekł śmiejąc się Severn, gdyż za parę dni, a może nawet jutro... przybędzie ona yachtem na Jersey, w towarzystwie swoich przyjaciół.

Twarz Dafny mocnym pokryła się rumieńcem.

— A niechże nie przybywa! niech zatrzyma się zdala od Fief-la-Reine! niech moja ciemnota nie zetknie się nigdy z uczonością takiego fenixa!..“ tak pomyślała sobie Dafne; po chwili jednak zapytała głosem tak pewnym że sir Severn nie mógł odgadnąć co się działo w jej duszy.

— Czy miss Hardcastle jest wysokiego czy niskiego wzrostu? czy ma czarne czy niebieskie oczy? włosy jasne czy ciemne?

Sir John Severn odjął medalion od łańcuszka do zegarka, otworzył i pokazał pani Chester zawartą w nim miniaturę.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 14.

(Ciąg dalszy).

N. 5—10. Serweta do przykrycia stołu. Haft na materyale w deseń turecki.

W N. 10 Tygodn na r. 50—52 podaliśmy poduszkę wyszywaną różnokolorową włóczką i filozelą, na bawełnianym materjale w deseń kolorowy turecki. Ten rodzaj łatwej i pospiesznej a mimo to efektównej roboty, bardzo jest używany nietylko na kapy, poduszki i serwety meblowe, ale i do przyozdobienia sukien lub okryć. Na r. 5 podajemy serwetę do przykrycia stołu, wyszytą na dużej chustce bawełnianej różno-kolorową włóczką i filozelą. Pomiędzy haftem pozostają nie przykryte części tła i deseniu w różnych jasnych kolorach. Na rycinie 6 podajemy w naturalnej wielkości cząstkę tła i dokładne wskazanie ściegów, a na ryc. 7 takąż próbkę wązkiego szlaku. Wszelkie kolory w guście tureckim lub perskim, odpowiednio do tła układane użyte są w robocie. Model miał jedwabną podszewkę i cieniutki podkład waty, nadający potrzebną mięsistoć serwecie. Ryc. 8 przedstawia próbkę frendzli w naturalnej czerokości, którą robi się z różno kolorowych włóczek i filozeli równo pociętych i przyrabianych do kawałka kanwy. Ryc. 9 uczy sposobu przewłóczenia nici przez kanwę a 10 sposobu przeszywania nagłówka; obie próbki są powiększone. Po przewleczeniu wszystkiej frendzli, składa się pasek kanwy przez środek w ten sposób żeby zachodził równo na obie strony frendzli; następnie przeszywa się włóczką podwójną nagłówek wskazany na próbce 10, zajmując na wskróś po cztery nitki kanwy z prawej i lewej strony, a nitki opuszczone przeszywa się drugim cieniem lub kolorem. Po odrobieniu nagłówka 1—14 cent. szerokiego, obcina się starannie zbywające brzegi kanwy, i równa długość frendzli u dołu.



N. 1. Pachnąca poduszeczka z bukiecikiem malowanym.



N. 2. Pachnąca poduszeczka pokryta siatką gipiurową.



N. 3. Karta do spisu potraw ozdobiona zaszusonemi kwiatami.



N. 4. Karta do spisu potraw ozdobiona zasuszonym mchem i kwiatami.



N. 5. Zakładka do książki ozdobiona malowaniem i frendzlą macrame.



N. 6. Płaszczyk z chustki w guście tureckim.



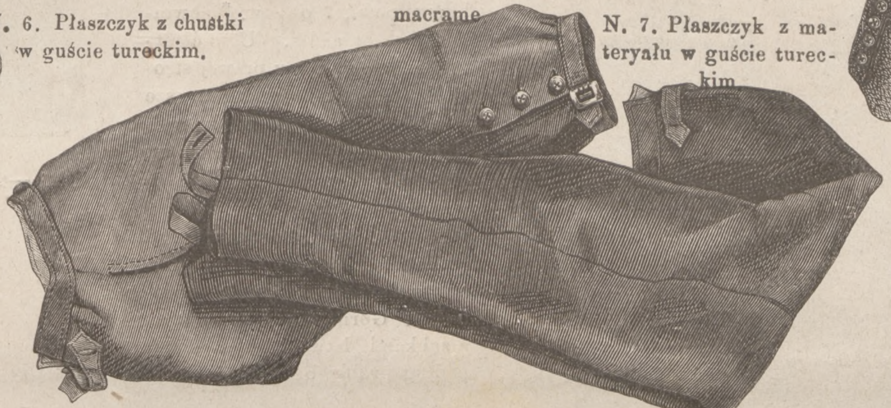
N. 7. Płaszczyk z materyału w guście tureckim.



N. 8. Paletocik wcinany Patrz plecy na ryc. 9.



N. 9. Paletocik wcinany. Patrz przód na ryc. 8.



N. 10—11. Majtki dla dam do konnej jazdy.

N. 13. Kołnierzyk z chusteczką do rannego ubrania.

Kołeierzyk kraje się z potrójnego materyału, stębnuje z brzegu kilka razy, oszywa koronką i wszywa do chusteczki w pasek 1 cent. szeroki. Chusteczkę perkalową łatwo dopasować można podług formy małej pelerynki, którą z tyłu przedłuża się chusteczkowo a z przodu dodaje się wskazane na ryc. 13 końce, krzyżujące się pod związaniem z kolorowej wstążeczki podszytej lub nawleczonej z tyłu.

N. 14 — 16

Chusteczka nocna ozdobiona wyszyciem kolorowem i brzeżkiem szydełkowym.

Chusteczkę robi się z czworokątnego kawałka płótna mającego 51 cent. długości a 32 szerokości przekątnie przeciętego, wązko każden z osobna obrębionego i wyszytego ściegiem jednakowym na dwie strony. Następnie dwa krótsze proste brzegi zeszywają się ze sobą na 21 cent. długości, a resztę wywija się na kołnierz otwarty z tyłu. Ryc. 15 i 16 przedstawia 2 rodzaje odmiennych szlaczków i brzeżków do chusteczki.

N. 17 — 18. Karczek koronkowy do koszuli robiony z tasiemeczki gładkiej i medaljonowej.

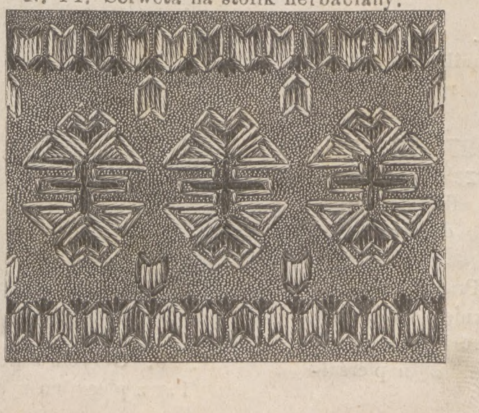
Ryc. 17 przedstawia w zmniejszeniu cały karczek do koszuli dziennej, robiony razem z rękawkami, które pod pachą od spodu spojone. Na ryc. 18 dajemy część przedniej połowy karczka w ząb zakończonego.



N. 12. Koszyczek do robót, ozd. haftem kolorowym.



N. 14. Serweta na stolik herbaciany.



N. 14. Deseń do haftu kolorowego na koszyczek ryc. 12.



N. 15. Suknia ze stanikiem z długą baskiną i z tuniką upiętą w draperyę.



N. 16. Ubranie z vêtement. Patrz przód na ryc. 33.

N. 19. Stanik ze szmizetką, pod suknię mającą przód w karo wycięty.

Stanik kraje się z półbatystu podług formy stanika z baskiną, z pod szmizetki złożonej ze wstawek $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej walensienki i w kontrafałdę zaszytych wązkich pasków batystu, wycina się podszewkę. Wykrój szyi i pachy oszyte są wstawką przewleczoną wąziutką kolorową wstążeczą, i ogarnirowane w fałdki układaną, 2 cent. szeroką koronką.

N. 20—21. Rękawki i kołnierzyk dla osób w starszym wieku.

Rękawek muślinowy 36 cent. szeroki przymarszcza się przy ręku i wszywa w wązką listewkę, którą następnie mankiet przykrywa. Ten ostatni składa się z dwóch wstawek koronkowych 4 centym. szerokich złączonych i z brzegu wszytych wązką wstawką haftowaną, lub paskiem kratki ażurowej, które trzeba tak dopasować żeby po zeszyciu łatwo przez rękę przechodziły, a dolna była trochę obciślejsza od górnej. W fałdki układana 6 cent. szeroka koronka przyszyta u dołu mankieta. Kołnierzyk stanowi jedna wstawka koronkowa w górze dla formy trochę przymarszczona, a u dołu gładko do wstawki haftowanej wszyta, koło szyi 3 cent. u dołu 6 cent. szeroką, fałdowaną koronką oszyta. Kokarda z szerokiej kolorowej wstążki.



N. 17. Czapeczka filcowa dla chłopczyka.

N. 18. Kapelusz filcowy tyrolski, dla małej dziewczynki.

N. 26. Wstawka szydełkowa do bielizny zakończona szlaczkiem.

Wstawkę robi się w podłuż zaczynając łańcuszkiem lub rzędem słupków. Pierwsze muszki zaczyna się rzędem * z trzech o. sci., 3 o. pow, 1 słupka 3 o. pow., powtarzać od gwiazdki. Rząd drugi jak poprzedni lecz tak ażeby słupek wypadał nad środkowem z o: ścisłych, o: ścisłe nad słupkiem; na rząd 3ci odwrócić robotę nie urywając nitki * 1 o: pow: zajętą za zwierzchnią nitkę w o: pow: będące przy 3 o: ścisłych poprzedzającego rzędu; dalej w środkowe z o.; śc. 3 słup. zajęte w nitkę spodnią pentelki, 1 o. pow. w najbliższe pow., 7 o pow. * powtarzać od gwiazdki. Urwać nitkę, zacząć rząd 4 z prawej strony * 3 o. śc. z których pierwsze w o. śc. przy musce z czterech słupków, drugie w to samo co muszka ale od spodu, trzecie w ostatnie ścisłe; 3 o. pow., 1 sł., 3 o. pow., powtarzać od gwiazdki. Następne rzędy muszek zaczynać od drugiego obrobienia. Górne zakończenie wraz z ząbkami łatwo odrobić można podług próbki bez opisu.



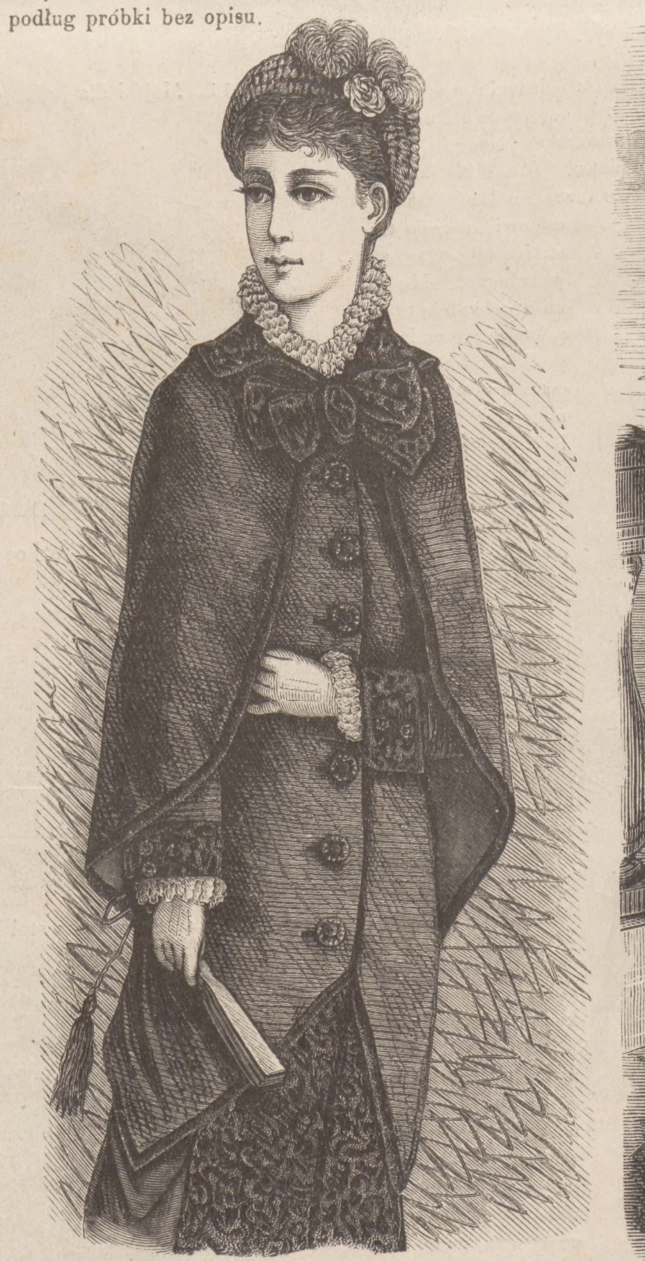
N. 25. Ubranie z draperyą tunikową. Patrz przód na rycinie 26.

N. 27. Ubranie ze stanikiem długim paletocikowym.

N. 26. Ubranie z tuniką. Przód do ryc. 25.

N. 27—28. Fartuszek do malowania albo do gospodarstwa.

Praktyczny, całą suknię osłaniający fartuch kraje się razem z napierśnikiem, forma przodu widoczna na rycinie 27, bryty boczne są w górze na podobieństwo boczków od stanika trochę kolisto ścięte, dalej podług figury w dwie zaszewki zaszytc. Fartuch może być z białej lub korowej dymki albo z dreliszku, ozdobiony naszyciem z kolorowej tasiemki, szlaczkami krzyżykowej roboty, albo haftem i koronką niciana.



N. 28. Okrycie z pelerynką. Patrz plecy na ryc. 29.



N. 21—22. Suknie czarne jedwabne lub kaszmirowe.

N. 23. Ubranie dla panienki lat 12—14.

N. 24. Kamizelka z kurtką i majtki dla chłopczyka lat 8—12.



N. 30—31. Ubranie ze stanikiem długą baskiną i draperyą tunikową.



N. 19—20. Kapotka dla dziewczynek.

N. 29. Próbka roboty szydełkowej na karczek do koszuli rycina 49.

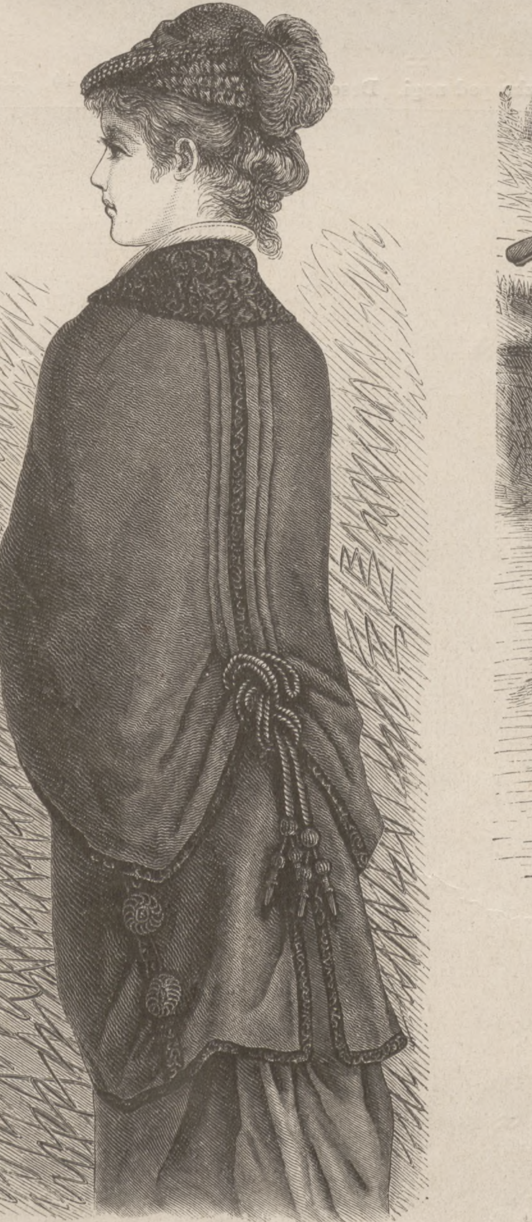
Z bawełny kordonkowej Nr 60 robi się najpierw gwiazdki oddzielnie, zaczynając 4-ma o. pow. obrobionemi raz 8, drugi raz 16 o. sci., w rzędzie 3-cim daje się 8 słup. przedzielanych 5-ciu o. pow., w czwartym * 3 o. pow., 1 słupok w środkowe z 5-ciu pow. poprzedzającego rzędu, trzy pikoty z których boczne z o. 4 pow. środkowy z pięciu. 3 o. pow., 1-no o. śc. w słupek poprzedzającego rzędu; powtarzać od gwiazdki. Nakoniec gwiazdki obrabiają się i zarazem łączą ząbkami z o. pow. i pikotów, które dodają się wprzód z jednej strony do połowy, a następnie z drugiej strony gwiazdek; druga połowa ząbków łączy się z pierwszą w środku dwoma sł. dwa razy nawijanemi. Szlaczek górny łatwo bez opisu odrobić podług ryc. 29 a ząb z przodu do karczka dodać podług ryciny 49.

N. 30—49 i 52. Bielizna różna.

Krój koszul majtek i kaftaników tak mało rożni się od fasonów dawniejszych iż bieliznę dziś podaną z łatwością dopasować można podług form z roku przeszłego, przy pomocy objaśnień które niżej podajemy.

N. 30. Majtki garnirowane koronką.

Majtki szerokie u dołu przymarszcza się do 40 cent. obwodu i wszywa w listewkę 3 cent. szeroką, pomiędzy której dolne brzegi wszywa się gipiurę przymarszczoną 60 cent. długą a 9 szeroką. Wstawkę 4 cent. szeroką stębnuje się do koronki i listewki, a w górze po podwleczeniu wstążką kolorową tylko fastrzyguje na listewce.



N. 29. Okrycie z pelerynką. Patrz przód na ryc. 28.



N. 32. Ubranie ze stanikiem z boku zapiętym.

N. 33. Ubranie z vêtement. Przód do ryc. 32.

N. 31. Krótka spódniczka z barchanu pikowego.

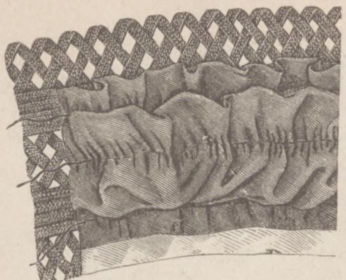
Składa się z przodu w górę wązko zciętego, dwóch bocznych klinów i jednego bryta tylnego; u dołu ma 240, w górze ma 128 cent. szerokości a 72 cent. garnirunek stanowi falbanka haftowana 5 cent szeroka, na którą spada gładko przyszyta, 6 cent. szeroka niciana koronka. Nad koronką naszyty 4 cent. szeroki prosty pas szyrtyngu, środkiem którego wszyte są w odstępie $\frac{1}{2}$ cent. 3 grube sznury.

N. 32. Koszula dziecinna w środku w karo wycięta.

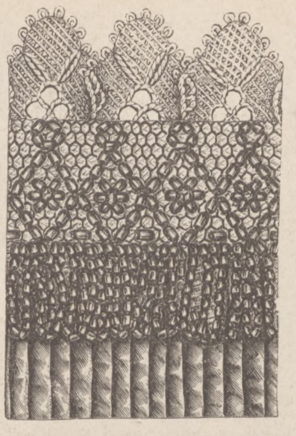
Koszulę wysoko zachodzącą z tyłu kraje się bez kareczku, w ten sposób ażeby z przodu i z tyłu była nakształt luźnego z boków wciętego kaftanika dopasowana. Krój ten przeznaczony jest do staników z tyłu wysokich z przodu dużo wyciętych; przy sznurówce nisko w górze zachodzącej, nietrzeba już kłaść staniczka. Rozporek z przodu zakończony jest oddzielnemi, jeden na drugi założonemi obrębami; wykrój górny i pachy podszyte listewką i oszyte plisowaną, 6 cent. szeroką bretońską koronką, którą w sposób widoczny na ryc. 32, podszyta jest od spodu wązką wstawką z nawleczoną od spodu kolorową wstążeczką.

N. 35. Majtki przymarszczone na kolanach.

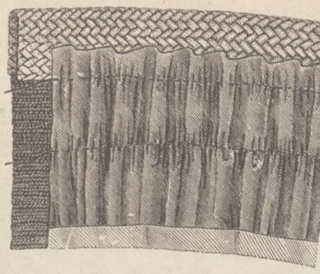
Ponieważ majtki drą się najprędzej przez wytłoczenie na kolanach, dla uniknięcia więc tej niedogodności, w modelu do ryc. 35 zwierzchnie połowy majtek krajane są dłużej i przymarszczone z brzegów w miejscach przypadających na kolano, które wpada luźno w utworzoną tym sposobem bufę. Garnirunek stanowią stębnowane zakładki, wstawka z koronki niciane podłożona kolorową wstążką i wązka nadmarszczona koronka, pod którą podszyta jest plisowana falbanka.



N. 34. Podgarnirowanie pod rondo do kapelusza ryc. 42 ułożone ze skośnego przemarszczonego atłasu.



N. 37. Ubranie z plisowanej materyi, koronki i dżetu, do kapelusza ryc. 36.



N. 35. Podszycie do ronda do kapelusza.



N. 36. Kapelusz ubrany plisowaniem i koronką. Zmniejszona próbka ubrania na ryc. 37.



N. 44. Plecy do ryc. 2 w N. 14.



N. 45. Torebka do zawieszania na ścianie. Haft renaissance.



N. 44. Plecy do ryc. 1 w N. 14.



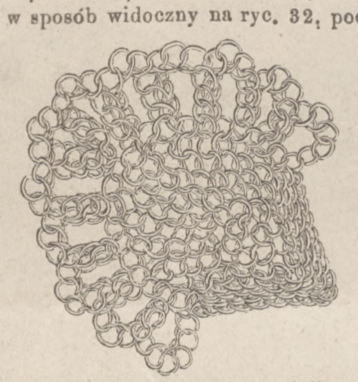
N. 38. Kapelusz ubrany koronką szydełkową ze złotej nici.

N. 36. Majtki krajane razem ze stanikiem.

Zupełnie luźną formę stanika z baskiną dopasować trzeba w jednym ciągu do formy majtek w ten sposób ażeby staniczek zapinał się tylko na ramionach i mógł dogodnie być wraz z majtkami kładziony na koszulę i gorset.

N. 37. Koszula z zaszewkami z przodu.

Osoby otyłsze pragnące ubraniem jak najmniej się przygrubiać, używają koszul dopasowanych w górze podług luźnej formy stanika, z dwoma zaszewkami w piersiach z każdej strony. Koszula taka zapina się na ramionach, a do gorsetu niskiego w górze, niepotrzeba już staniczka pod suknię. (*d. n*).



N. 39. Próbka liścia szydełkowego ze złotych nici, do ryc. 38.



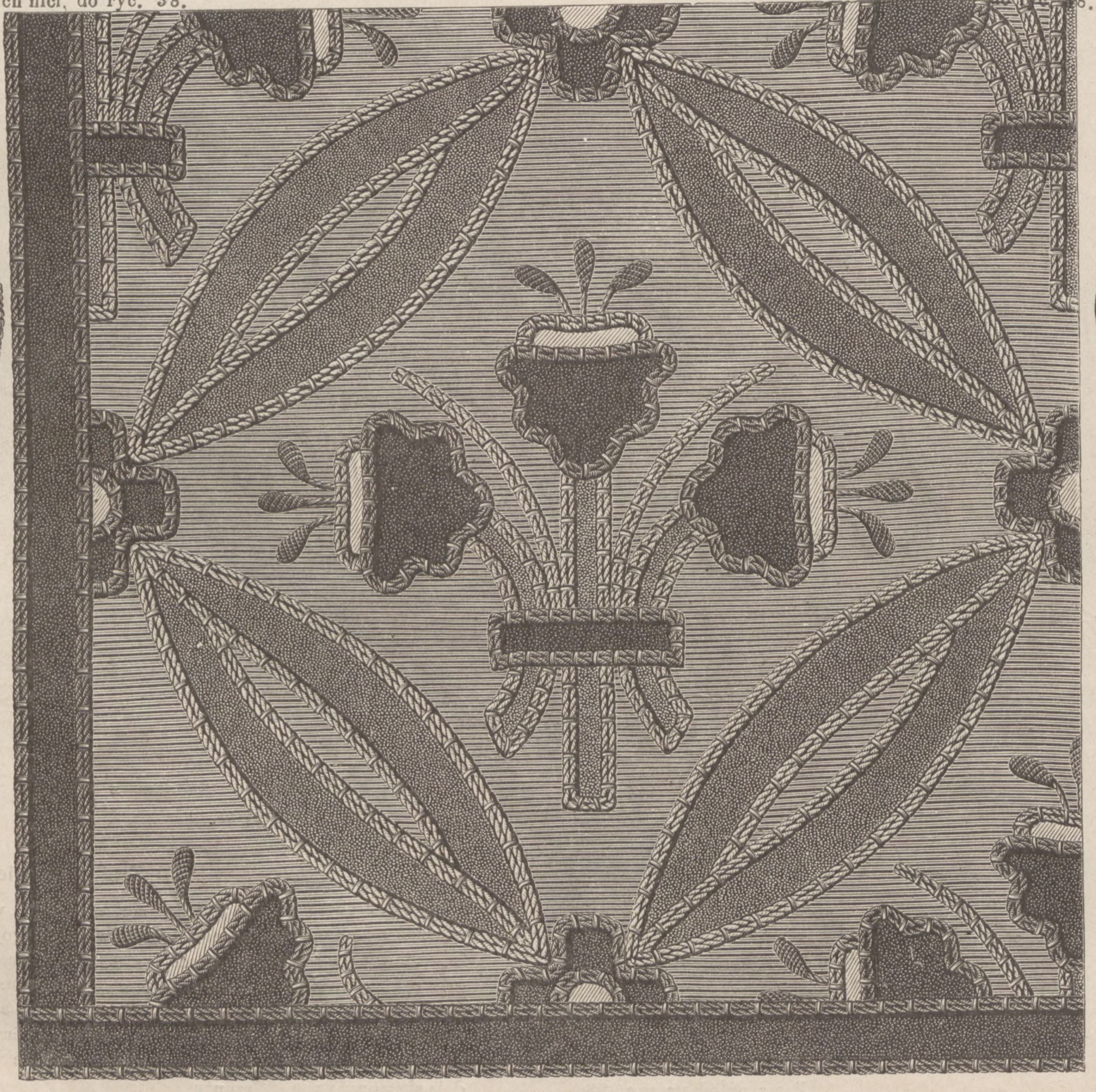
N. 46. Poduszka pod nogi. Deseń na ryc. 47.



N. 40. Liść ze szneli i złotych nici do ryc. 38.



N. 41. Kapelusz ubrany koronką, dżetem i kwiatami.





N. 42. Kapelusz ubrany trójkątną chusteczką. Zobaczyć podgarnirowanie na ryc. 34 — 35.

N. 47. Czwarta część deseniu na środek do poduszki pod nogi r. 46. Haft z aplikacyą.



Pl. 425.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.